

**ŚWIAT
POST
AMERY
KAŃSKI**



W numerze:**USA na drodze do porażki w rywalizacji z Chinami**

Bartłomiej Radziejewski 3

Wojna zimna, emocje gorące

Bogdan Góralczyk 12

Jak Amerykanie chcą militarnie powstrzymać Chiny

Paweł Behrendt 17

Polska stanu wyjątkowego

Bartłomiej Radziejewski 23

Jak uczyć w domu i nie zwariować?

Anna Szczerbata 27

Czy rząd chce walczyć z suszą?

Paweł Średziński 32

Kultura strachu utrudnia radzenie sobie z pandemią

Z profesorem Frankiem Furedim rozmawia Jarema Piekutowski 38

Minusy plusów, czyli druga strona polityki socjalnej PiS

Stefan Sękowski 42

Gabinet filozofa jest jak gabinet lekarza

Z Piotrem Sikorą rozmawia Jarema Piekutowski 46

Puste Mazury

Wojciech Stanisławski 52

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

USA na drodze do porażki w rywalizacji z Chinami



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Dyrektor „Nowej Konfederacji”

Odwrotnie niż zakładają polskie elity, scenariuszem bazowym jest amerykańska przegrana, nie amerykańskie zwycięstwo, które nie jest niemożliwe, ale bardzo mało prawdopodobne. To zaś dla Rzeczypospolitej zmienia bardzo wiele

Polskie elity polityczne i – może nawet bardziej – ich intelektualne zaplecze opierają się na założeniu długotrwałości prymatu Stanów Zjednoczonych i ich przewagi w rywalizacji z Chinami. Można często usłyszeć, że amerykańskie zwycięstwo jest kwestią czasu. Scenariusz odwrotny – porażka USA – jeśli w ogóle dopuszczany jest do wyobraźni, to jako marginalny. Na tym założeniu budowane jest polskie bezpieczeństwo i cała polityka zagraniczna. Pod nie ułożona jest wręcz cała polityka polska, jeszcze w przededniu obecnej pandemii radośnie skupiona na „wzroście i rozwoju” oraz podziale ich owoców, jak gdyby wciąż trwało pierwsze dwudziestolecie transformacji, z jego wiarą w „koniec historii” i „wieczny pokój”. W związku z tym, nieuchronnie, kwestie bezpieczeństwa, przetrwania narodu i państwa oraz ich miejsca w międzynarodowej rywalizacji – znajdują się na marginesie uwagi.

To fundamentalny błąd. Scenariuszem bazowym jest amerykańska porażka, nie amerykańskie zwycięstwo, które nie jest niemożliwe, ale bardzo mało prawdopo-

dobne. To zaś dla Polski, która odzyskała niepodległość w ramach przejścia do świata jednobiegunowego z USA na czele, i po 30 latach pozostaje elementarnie zależna w sferze bezpieczeństwa od Ameryki, zmienia bardzo wiele.

Jak Kartagina z Rzymem

Rywalizacja amerykańsko-chińska przypomina pod pewnymi ważnymi względami rywalizację Kartaginy z Rzymem w dobie wojen punickich w III i II wieku przed Chrystusem. Po pierwsze, jest zderzeniem dominującego mocarstwa mającego charakter morski z rosnącym w siłę mocarstwem o charakterze najpierw lądowym, potem zaś hybrydowym (lądowo-morskim). Tym, czym była w III w. przed Chrystusem Kartagina dla zachodniej części basenu Morza Śródziemnego, tym Stany Zjednoczone są dla Zachodniego Pacyfiku – i świata – dziś. Naprzeciw mają Chiny, mocarstwo tradycyjnie lądowe, które, tak jak Rzym podczas wojen punickich, intensywnie rozbudowuje poten-

cjał morski, przekształcając się w potęgę hybrydową.

Po drugie, zbliżony poziom potęgi rywali w połączeniu z dużymi różnicami w jej poszczególnych aspektach sprawia, że tak jak wtedy, tak i dziś, trudno rozstrzygnąć tę rywalizację w jednym lub kilku starciach. Rywalizacja hegemoniczna Rzymu z Kartaginą trwała co najmniej 118 lat, oznaczała trzy wojny i zmagania na wielu różnych polach, obejmujących nie tylko kwestie wojskowe, ale też handel, technologię, zabiegi o względy sojuszników. Odmienności sytuacji dzisiejszej są oczywiście ogromne, ale, tak jak wtedy, należy się spodziewać dłuższej rywalizacji i wielu konfliktów na różnych polach, mogących przygasać i wracać, ulegać zamrożeniu w jednych aspektach, trwając w innych. Mieliśmy już zresztą okazję to obserwować.

Po trzecie, można zobaczyć podobieństwo na poziomie logiki rozstrzygnięcia konfliktu. *Carthago delenda est*, Kartagina musi zostać zniszczona – powtarzał Katon Starszy, uważając, że dopóki się to nie stanie, afrykańskie miasto będzie zawsze zagrożeniem dla Rzymu. Można w to wątpić (tak jak wówczas Publiusz Korneliusz Scypion), studiując wielkie osłabienie Kartaginy po II wojnie punickiej, o III nie wspominając. Z pewnością bliższe prawdy byłoby odwrotne powiedzenie: to Rzym musiał zostać podbity lub zniszczony, aby Kartagina mogła utrzymać mocarstwową status. Wyzwalając ogromny potencjał zjednoczonego pod swoim panowaniem Półwyspu Apenińskiego, Republika stała się niezwykle witalnym i ekspansywnym mocarstwem, którego nie mogły zatrzymać pojedyncze porażki, i które miało wielką zdolność szybkiej regeneracji po stratach. Pokazała to m.in.

I wojna punicka. Rozumiał to, jak się zdaje, Hannibal, zbierając wielką armię lądową i próbując ataku na stolicę przeciwnika. Jak wiemy, nie powiodło mu się, w efekcie czego przegrał i II wojnę punicką, i przyszłość Kartaginy. W III wojnie gra toczyła się już tylko o to, czy miasto zachowa autonomię jako rzymski klient, czy też zostanie jej pozbawione lub zniszczone.

**Współczesna Kartagina,
którą są Stany Zjednoczone,
coraz wyraźniej staje przed
podobną logiką sytuacji:
poza wojną totalną
i uderzeniem w samo serce
przeciwnika nie widać
jasnego sposobu na
powstrzymanie wzrostu jego
potęgi**

Współczesna Kartagina, którą są Stany Zjednoczone, coraz wyraźniej staje przed podobną logiką sytuacji: poza wojną totalną i uderzeniem w samo serce przeciwnika nie widać jasnego sposobu na powstrzymanie wzrostu jego potęgi. Brak tego powstrzymania będzie oznaczać trwałą utratę statusu mocarstwa nr 1 na świecie, ustanawiającego międzynarodowe reguły i będące ich głównym beneficjentem. Tak jak Kartagina chciała ustanawiać *terms of trade* w zachodniej części basenu Morza Śródziemnego. To nie tylko prognoza, ale i opis: ten proces już trwa.

Smok na światowych salonach

Jego najbardziej spektakularnym i paradoksalnym przejawem jest fakt, że pod rządami Donalda Trumpa Stany Zjednoczone zaczęły kwestionować reguły międzynarodowe, które same ustanowiły. Prowadzą wojny handlowe, osłabiają instytucje międzynarodowe, działają na rzecz wzrostu ceł, protekcjonizmu i nacjonalizmu. Osłabiają globalizację, którą w dotychczasowej formie same ustanowiły, i której były liderem, napotykając na ironiczne kontry despotycznych Chin, występujących teraz publicznie – jak Xi Jinping na forum w Davos w 2017 r. – w obronie wolnej wymiany i dotychczasowego porządku.

To efekt zlekceważenia przestrogi Napoleona, który przenikliwie mówił: „zostawcie Chiny, niech śpią, bo kiedy się przebudzą, cały świat zadrży”. USA obudziły Smoka w latach 70., włączając go do zglobalizowanej gospodarki, w sposób pozwalający mu zachować kontrolę nad zasobami o strategicznym znaczeniu (inaczej niż podczas późniejszej transformacji Europy Środkowej). To umożliwiło Chinom bezprecedensowy w historii gospodarczej świata skok rozwojowy, którego miarą jest zasypanie ponaddziesięciokrotnej dysproporcji udziału w światowej produkcji między tymi mocarstwami w ciągu zaledwie 34 lat. W 1980 było to, w kategoriach parytetu siły nabywczej (PPP), 2,2 proc. (Chiny) do 25 proc. (USA). W 2014 r. Chiny prześcignęły Stany pod tym względem. Dziś są już o 1/3 większe w kategoriach PPP, a według nominalnego PKB, ich gospodarka stanowi 67 proc. amerykańskiej i szybko skraca dystans. W szczytowych momentach potęgi poprzednich rywali strategicznych USA ten stosunek przyjął wartość 40 proc. dla

Związku Sowieckiego i 26 proc. dla III Rzeszy.

Wpuszczenie Chin do zglobalizowanego świata miało głęboki sens w czasie pierwszej zimnej wojny, gdyż rozbiło blok komunistyczny i zaprzęгло Smoka do pracy przeciwko Moskwie. Niezatrzymana w porę integracja Pekinu z systemem światem doprowadziła do sytuacji, w której wyrósł on na porównywalne do USA mocarstwo, będące największym beneficjentem globalizacji i jednocześnie największym rewizjonistą systemu międzynarodowego. To mocarstwo wlało się jak woda w szczeliny systemu, obracając z czasem jego logikę na swoją korzyść. Ponieważ jednak ich rewizjonizm ma naturę ewolucyjną – polega na wchodzeniu w kolejne punkty systemu i zwiększania wpływu na niego poprzez wielką liczbę stosunkowo małych ruchów, albo w ogóle poza percepcją strategiczną rywali, albo na zasadzie plasterków salami, zbyt małych aby ryzykować większą konfrontację o nie – prowadzi do największego paradoksu naszych czasów. Polega on na tym, że Stany Zjednoczone muszą kwestionować reguły, które same ustanowiły, aby odwrócić niekorzystne dla siebie tendencje. To oczywiście budzi konsternację i niezadowolenie wśród wielu ich sojuszników, zwłaszcza w Europie. A więc otwiera kolejne szczeliny, w które może się wlewać – i wlewa się Pekin.

Nieskuteczna ofensywa Waszyngtonu

Ameryka podjęła jak dotąd dwie próby powstrzymania tego procesu. Obie nieudane. Pierwszą był „zwrot ku Azji” (*pivot to Asia*) prezydenta Baracka Obamy z lat 2011-14. Przybrał postać głównie retoryczną, sprowadzającą się do gromkich przemówień i symbolicznej sygnalizacji

strategicznej, mających dać do zrozumienia, że USA nie pozwolą się zepchnąć z piedestału ani w Azji, ani w pozostałej części świata. Zakończył się spektakularną porażką: przyjęciem przez Chiny otwarcie wielkomocarstwowej retoryki, ich wysunięciem się na pierwsze miejsce pod względem PKB wg PPP, zasianiem jeszcze większego zwątpienia wśród amerykańskich sojuszników (takich jak Filipiny czy Korea Południowa). Last but not least: konkretnymi przesunięciami wpływów na kluczowym Morzu Południowochińskim, z budową chińskich sztucznych wysp i ich wygrana w sporze o Scarborough Shoal.

Po kilku latach dogłębnego namysłu strategicznego (podczas których układ sił dalej znacznie się pogorszył) USA przystąpiły do drugiej fazy. Już pod rządami Donalda Trumpa, zapowiadającego „uczynienie Ameryki ponownie wielką”, rozpoczęły w roku 2018 de facto nową zimną wojnę. Ma ona trzy główne wymiary – strategiczny, technologiczny i handlowy – i, w przeciwieństwie do pivotu Obamy, przekłada się na wiele konkretnych działań. Nie miejsce je tu szczegółowo opisywać (odsylam do starszych publikacji „Nowej Konfederacji” na ten temat). Istota rzeczy jest jednak prosta: zadając wreszcie Chinom bolesne ciosy (częściowo uderzające w nie same), USA wciąż nie zdołały odwrócić fatalnego trendu, w ramach którego rywal rozwija się ponad dwa razy szybciej. Dalej pogarszając układ sił na niekorzyść Ameryki.

Bieżące relacje mogą nie zdawać sprawy z istoty rzeczy. USA są w ofensywie: zadają ciosy, przesuwają siły, wzbudzają medialne zainteresowanie. Udało im się osłabić chińskie giganty technologiczne z ZTE i Huawei na czele, zmniejszyć deficyt handlowy, zahamować ekspansję Państwa Środka na Morzu Południowo-

chińskim, zaburzyć chińskie łańcuchy produkcji poprzez ograniczenie dostępu do półprzewodników. Ale nie udało im się powstrzymać chińskiej ekspansji kapitałowej i politycznej ani w Azji, ani w Europie, ani w Ameryce Łacińskiej, o Afryce nie wspominając. Będący jednym z głównych celów ataku Huawei rozwija działalność w tak ważnych krajach sojusznicznych jak Wielka Brytania i Polska. Izrael, mimo ostrej krytyki Waszyngtonu,

Podstawowym wyzwaniem jest dla USA powstrzymywanie Chin w Azji i na Indo-Pacyfiku. Europa – w tym nasz region – jest dla nich drugo- lub trzeciorzędnym teatrem strategicznym (rzecz dyskusyjna: po, czy przed Zatoką Perską)

nie wycofał się z oddania Chińczykom w zarządzanie strategicznego portu w Hajfie. Korea Południowa, kluczowy sojusznik na Zachodnim Pacyfiku, oddaliła się od USA w sferze bezpieczeństwa. Na amerykańskie sankcje handlowe Chińczycy reagują ze spokojem, bądź wprowadzając symetryczne restrykcje, bądź odwlekając i akceptując. Na technologiczne: wykluczeniami na własnym rynku i rozwojem popytu wewnętrznego. W zeszłym roku dysproporcja wzrostu bogactwa Chin i Ameryki była jeszcze większa niż rok wcześniej (6,1 vs. 2,3 proc. wzrostu PKB, wobec 6,6 vs. 2,9).

Ścisła integracja Państwa Środka ze światową – zwłaszcza amerykańską – gospodarką powoduje, że każdy cios ekonomiczny wymierzony w Pekin uderza rykoszetem w USA i w innych. Z tego powodu Stany Zjednoczone nie mogą sobie pozwolić na pełnowymiarową wojnę gospodarczą z głównym przeciwnikiem bez pociągania na dno samych siebie i reszty świata. Podjęte przez USA wysiłki na rzecz gospodarczego rozdzielania (*decoupling*) są teoretycznym rozwiązaniem tego problemu, rozwiązującym Waszyngtonowi rękę. Teoretycznym, bo nie da się szybko odwrócić strukturalnych zmian w międzynarodowej gospodarce, które zaszły przez ostatnie czterdzieści lat, bez zrujnowania samej Ameryki i jej sojuszników. Dlatego też dotychczasowe postępy szumnego rozdzielania są znikome i napotykają ogromny opór.

Podobnie ma się rzecz na polu wojskowo-strategicznym. Kolejne manifestacje amerykańskiej siły na Indo-Pacyfiku, dalsza fortyfikacja Tajwanu, ożywienie współpracy z Filipinami, Japonią i Indiami – wyhamowały chińską ekspansję w regionie. Ale tylko tyle. Chiny kontynuują intensywne zbrojenia, w tym rozbudowę floty, zmniejszając z roku na rok dysproporcję potęg militarnych. Wydają na wojsko o ponad 1/3 mniej w stosunku do PKB niż USA, mają więc większe rezerwy wzrostu. Dysponują już większą liczbą okrętów niż Ameryka (oraz największymi na świecie flotami rybacką i handlową, które w razie potrzeby mogą zostać częściowo zmilitaryzowane) i dysproporcja ta rośnie. Mają przy tym komfort głębi strategicznej, bliskości teatru potencjalnej wojny, dla USA dalekiego i kosztownego. Mają też luksus koncentracji zasobów wojskowych w jednym regionie, gdy amerykańskie są rozproszone po

całym świecie. Jednocześnie wysiłki USA na rzecz wzmocnienia poważnie zaniedbanej floty napotykały na duże trudności wewnętrzne i są w samych Stanach oceniane jako dalece niewystarczające. Nie widać też nawet zapowiedzi przełomu w dziedzinie zdolności do przełamania chińskiego systemu antydoświadczalnego (A2AD), czyniącego znaczną część amerykańskiego potencjału ofensywnego w tym regionie – z lotniskowcami na czele – bezużyteczną. Wyścig zbrojeń z Chinami na Indo-Pacyfiku wygląda z punktu widzenia USA coraz bardziej na pułapkę podobną do tej, jaką zastawił Reagan na Sowiety.

Krótko mówiąc, *summa summarum* polityka powstrzymywania Chin prowadzona przez Trumpa jest porażką. Mniejszą niż pivot Obamy, ale wciąż porażką. Chiny wydają się już zbyt potężne, aby ulec tego rodzaju presji, jakiej je USA ostatnio poddają. Działania Ameryki jawią się jako znacznie spóźnione. Trzy daty wydają się tu kluczowe: 1991, 2001, 2011.

Po rozpadzie ZSRS w roku 1991 manewr Nixona z odwróceniem Chin stracił geostrategiczną aktualność. Stany dysponowały wówczas wszelkimi narzędziami, by powstrzymać lub przynajmniej spowolnić tuczenie przyszłego rywala. Popadły jednak w zbyt wielką pychę (związaną z ogromną przewagą nad każdym potencjalnym konkurentem podczas „jednobiegunowej chwili”) i chciwość (wynikającą z atrakcyjności inwestycyjnej Chin). W roku 2001 z tych samych powodów dopuściły Państwo Środka do Światowej Organizacji Handlu, otwierając przed nim szeroko drzwi do światowej ekspansji i przymykając oko na jego protekcyjnistyczne praktyki, naruszające reguły tej organizacji. Jednocześnie same Stany Zjednoczone zaangażowały się, po zama-

chach z 11 września, w przewlekłe wojny w świecie muzułmańskim. Wreszcie w roku 2011, gdy Chiny były już poważnym rywalem, można było lepiej rozeznaczyć sytuację i podjąć prawdziwe, a nie pozorowane powstrzymywanie. Wielu amerykańskich analityków postulowało to od lat. Gdyby wówczas poddano Chiny takiej presji jak teraz lub silniejszej, wynik byłby z pewnością dla USA korzystniejszy, ponieważ taki był też stosunek sił. Teraz zaś, jak mówił mi niedawno tytan realizmu politycznego i znany orędownik powstrzymywania Pekinu, prof. John Mearsheimer, jest już za późno.

Czy nie przesadza? Być może. Nie sposób precyzyjnie przewidzieć przyszłości, w tym dokładnego wpływu na tę rywalizację nieznanymi dziś innowacji technologicznych, zmian klimatycznych czy kaskadowych skutków epidemii. W każdym razie ja nie potrafię tego zrobić. Znaczna część rzeczywistości społecznej jest też z natury nieprzewidywalna, jest domeną „czarnych łabędzi” i nieprzejrzystej złożoności.

Jak pokonać Chiny?

Widzę trzy drogi do odwrócenia przez Amerykę niekorzystnego dla niej trendu. Wszystkie dość teoretyczne. Pierwsza to ścieżka punicka, a więc uderzenie w serce przeciwnika i wojna totalna. Największa efektywna przewaga, jaką USA mają nad Chinami, to arsenał nuklearny. Ponad dwudziestokrotna przewaga w liczbie głowic oznacza, że Ameryka może przeciwnika „obrócić w dymiące zgliszcza”, podczas gdy Pekin może „tylko” zniszczyć centra kilku-kilkunastu miast rywala, zabijając około milion ludzi, jak szacuje prof. Hugh White. „Tylko” robi tu jednak wielką różnicę. Czy Ameryka byłaby skłonna ponieść

taką ofiarę dla ocalenia swojego globalnego prymatu? Cóż, nie. Zainteresowanych szczegółami odsyłam do znakomitego eseju wspomnianego White’a pod wymownym tytułem „Bez Ameryki” („*Without America*”).

Jedno z przesunięć relatywnej potęgi w wyniku pandemii może pójść właśnie w stronę niechińskiej Azji Wschodniej, co dałoby Ameryce nieco większe możliwości równoważenia rosnących wpływów Pekinu

Druga droga, mniej akademicka, to taka przebudowa ładu międzynarodowego – na zasadzie „zmienić wszystko, aby nie zmienić nic” – aby zaczął on ponownie pracować na rzecz Ameryki bardziej niż na rzecz Chin. Taką próbę podjął Obama, inicjując transpacyficzną i transatlantycką strefę wolnego handlu (TPP, TTIP), mające na nowo ustanowić USA jako centrum kapitalistycznego świata, z pominięciem Chin. Wątpliwe, czy to by wystarczyło, było jednak niewątpliwie krokiem we właściwą z punktu widzenia Ameryki stronę. Oba przedsięwzięcia upadły z inicjatywy Trumpa. Alternatyw nie widać nawet w zapowiedziach.

Trzecia droga, najmniej, choć wciąż wysoce nieprawdopodobna, to przekształcenie tej rywalizacji w grę o sumie ujemnej bez eskalacji w nuklearny armagedon.

Jeśli amerykańskie elity i opinia publiczna byłyby w stanie zaakceptować bezmiar strat gospodarczych i ludzkich w imię większego osłabienia Chin, aby doprowadzić do poprawy rachunku względnej potęgi i zablokować marsz Państwa Środka ku globalnemu prymatowi, mogłyby uruchomić wielkie przewagi, które wciąż mają. Przede wszystkim w wojskach konwencjonalnych, a także przewagę walutową i technologiczną. Zwycięska wojna powietrzno-morska na Indo-Pacyfiku raczej nie złamałaby, ale mogła poważnie osłabić Chiny, podobnie jak wyniszczająca ich gospodarkę wojna walutowa, bazująca na ogromnej przewadze „Króla Dolara” jako głównej waluty rezerwowej świata.

Problem w tym, że każde takie wydarzenie spowodowałoby olbrzymie straty także po stronie USA. Czy Amerykanie są gotowi je zaakceptować? Jak dotąd nic na to nie wskazuje. To, co jest jednym z największych atutów Stanów Zjednoczonych – ich fantastyczne położenie geopolityczne – jest też ważną słabością w rywalizacji z Chinami. Podstawowa stawka sporu, dominacja Państwa Środka w Azji Wschodniej i na Zachodnim Pacyfiku, dotyczy fundamentalnych interesów Ameryki. Ale jednocześnie nawet jeśli to się Pekinowi uda, będzie wciąż daleki od stworzenia egzystencjalnego zagrożenia dla USA na Zachodniej Półkuli. To radykalnie obniża motywację do toczenia boju na śmierć i życie. Zwłaszcza że może on zawsze w niekontrolowany sposób wy eskalować w wojnę nuklearną.

Biorąc więc pod uwagę dostępną wiedzę i podlegające sensownemu prognozowaniu aspekty rzeczywistości, Ameryka jest na drodze do porażki, Chiny – na drodze do stania się mocarstwem numer jeden. To bazowy scenariusz. Niekonieczny, ale wysoce prawdopodobny.

Czy pandemia koronawirusa SARS-CoV-2 to zmienia? Jak wpływa na opisaną tu logikę? Za wcześnie jeszcze na całościowe oceny. Dotychczasowe dane, wskazujące na znacznie łagodniejszy przebieg pandemii w Azji Wschodniej niż na Zachodzie, sugerują swoistą powtórkę z roku 2008, kiedy to na kryzysie finansowym stracili wszyscy, ale USA i Europa znacznie więcej. To spowodowało poważne przesunięcie względnej potęgi na korzyść Azji, z Chinami na czele. Te ostatnie popełniły w początkowej fazie wielkie błędy, które spowodowały znacznie cięższy przebieg pandemii niż w niechińskiej Azji Wschodniej: w Japonii, Korei Południowej, na Tajwanie, w Singapurze. Z tych państw tylko pierwsze dysponuje potencjalnie mocarstwowym potencjałem, ale pozostałe mają też duże znaczenie strategiczne. Warto mieć więc z tyłu głowy hipotezę, że jedno z przesunięć relatywnej potęgi w wyniku pandemii może pójść właśnie w stronę niechińskiej Azji Wschodniej, co dałoby Ameryce nieco większe możliwości równoważenia rosnących wpływów Pekinu. Jednocześnie jednak łagodniejszy przebieg pandemii w Państwie Środka w porównaniu z głównymi krajami zachodnimi, na czele z USA, sugeruje kolejne zmiany układu sił na niekorzyść Stanów Zjednoczonych.

Bazowy scenariusz amerykańskiej porażki w rywalizacji z Chinami rozwidla się z kolei w dwa podstawowe scenariusze tak dla świata, jak i dla Polski. Co do pierwszego, kluczowe jest pytanie, jaki ład międzynarodowy wyłoni się z chaotycznych przekształceń, które obserwujemy. Może być on dwubiegunowy, jeśli USA i Chiny utrzymają lub powiększą przewagę względnej potęgi nad pozostałymi państwami. W tym wariantcie słabnąca (relatywnie) Ameryka będzie pró-

bować coraz to nowych sposobów na utrzymanie swojej pozycji, ale coraz bardziej ograniczone w stosunku do potrzeb możliwości będą ją zmuszać do wycofywania się z kolejnych teatrów strategicznych i pól rywalizacji. W część lub we wszystkie z nich będą wchodzić Chiny. Dziś nie mają one potencjału wystarczającego do zapewnienia *Pax Sinica* w miejsce *Pax Americana*, mogą go jednak uzyskać z czasem. Będzie to ład podlegający intensywnym zmianom, ale stosunkowo stabilny, tak jak stabilny był porządek zimnowojenny.

Może być to jednak także ład wielobiegunowy, jeśli duża gwałtowność zmian lub, przeciwnie, zakleszczenie Chin i USA w osłabiającej oba te państwa rywalizacji, wzmacniającej względnie innych graczy – pozwoli wyrosnąć tym ostatnim do rangi wielkich mocarstw. W kolejce czekają na pewno Japonia, Indie, Rosja, Niemcy, Indonezja, Brazylia. Taki ład będzie z natury rzeczy mniej stabilny i bardziej obfity w konflikty.

Polska potrzebuje strategicznej samodzielności

Z perspektywy Polski oznacza to jeden podstawowy wniosek: konieczność sięgnięcia po samodzielność strategiczną. Postępująca destabilizacja systemu oznacza możliwość tak dużych zagrożeń, jak i dużych szans. Bez zbudowania zdolności do uczestniczenia w nowej grze międzynarodowej jako samodzielny podmiot – będziemy przedmiotem. Klientem, mogącym tylko wybierać podczepianie się pod to lub inne mocarstwo.

Bazowość scenariusza porażki Stanów Zjednoczonych w rywalizacji z Chinami oznacza, że kontynuacja ich protekcji nad Polską jest zasadniczo zagrożona. USA

doświadczają już bowiem i doświadczą w jeszcze większym stopniu bardzo silnej presji na rzecz konsolidacji rozproszonych zasobów na kierunkach priorytetowych. Podstawowym wyzwaniem jest dla nich powstrzymanie Chin w Azji i na Indo-Pacyfiku. Europa – w tym nasz region – jest dla nich drugo- lub trzeciorzędnym teatrem strategicznym (rzecz dyskusyjna: po, czy przed Zatoką Perską). Utrzymanie amerykańskiej obecności tutaj zależy przede wszystkim od trzech czynników: tempa spadku ich względnej potęgi, użyteczności Europy w powstrzymaniu Chin, relacji z Rosją.

Należy się więc spodziewać powrotu dążeń do resetu z Rosją w Ameryce. Czy się on powiedzie, to pytanie otwarte, ale jest to kolejny argument za liczeniem się z wycofaniem USA z Europy lub ograniczeniem obecności w niej

Tempo spadku względnej potęgi USA jest szybkie i nic nie wskazuje na zatrzymanie tego trendu. Użyteczność Europy w powstrzymaniu Chin jest jak na razie nikła. Można jednak spodziewać się, że amerykańskie wycofanie ze Starego Kontynentu jeszcze by ją zmniejszyło. To oraz drugi czynnik, jakim jest presja amerykańskiego (i w mniejszym stopniu: transatlantyckiego) establishmentu na utrzymanie status quo, przemawia za pozostaniem Stanów w Europie. Również do

czasu – czasu prawdopodobnej, ostatecznej porażki w rywalizacji z Chinami.

Co do relacji z Rosją, to powszechnie znany jest fakt, że Trump chciał ich normalizacji, nowego resetu. Widział bowiem – z punktu widzenia amerykańskiego egoizmu narodowego słusznie – że konflikt z Moskwą niepotrzebnie rozprasza coraz bardziej ograniczone zasoby Waszyngtonu i oddala wariant wykorzystania rosyjskiego potencjału przeciwko Chinom lub przynajmniej jego neutralizacji w tych zmaganiach. Oskarżenia o współudział Kremla w wyborze Trumpa, sprzeciw dużej i wpływowej części amerykańskiego establishmentu strategicznego oraz wiara w możliwość jednoczesnego zwycięstwa na wszystkich frontach – zatrzymały ten trend. Wszystkie te czynniki słabną i raczej będą słabły dalej. Należy się więc spodziewać powrotu dążeń do resetu z Rosją

w Ameryce. Czy się on powiedzie, to pytanie otwarte, ale jest to kolejny argument za liczeniem się z wycofaniem USA z Europy lub ograniczeniem obecności w niej.

Podsumowując: więcej czynników gra na rzecz redukcji amerykańskiego zaangażowania na Starym Kontynencie niż za jego utrzymaniem lub zwiększeniem. To zaś czyni jeszcze bardziej prawdopodobnym scenariusz, w którym Polska będzie musiała się obyć bez protekcji USA.

A więc ponownie: samodzielność strategiczna. Na wstępie wymagałoby to porzucenia dojrzkizmu i zadowolenia ze status quo w polityce wewnętrznej oraz jednowariantowego myślenia życzeniowego w polityce zewnętrznej. Bazowym scenariuszem nie jest już pewność, a niepewność. Również co do trwałości sytuacji, w której Stany Zjednoczone zapewniają Polsce bezpieczeństwo.

Wojna zimna, emocje gorące



BOGDAN GÓRALCZYK

Polski politolog, sinolog, dyplomata, publicysta

Ideologiczne zacierzewienie i płynące stąd – często głębokie, trudne do podważenia czy usunięcia – uprzedzenia wobec „wroga” stają się barierą w trzeźwym rozeznaniu sytuacji. A brak tego ostatniego nierzadko prowadzi do katastrofy i strategicznych porażek

Przez ponad cztery dekady Zachód, począwszy od USA, grał na Chiny, w ramach przyjętej strategii zaangażowania. Przez dwa pierwsze dziesięciolecia prowadzono ją w jednym zbożnym celu: osłabić ZSRR – co się udało. A potem, po 1992 r., gdy wizjoner chińskich reform Deng Xiaoping wyciągnął należyte wnioski z rozpadu ZSRR i włączył wielki chiński rynek w globalizację, czyli wszedł na kapitalistyczne rynki, ówczesna administracja Billa Clintona znalazła inne uzasadnienie dla pogłębionej współpracy z ChRL: im więcej u nich zainwestujemy, tym bardziej się zliberalizują. Dziś już wiemy, jak bardzo się „zliberalizowali”, a świadomość (geo)strategicznej porażki wreszcie dotarła do amerykańskich (i częściowo innych zachodnich) elit.

Strategiczna konkurencja

Dlatego od przełomu lat 2017/18 i przyjęcia nowych strategii militarnych i bezpieczeństwa w USA mamy już do czynienia

z nowym rozdaniem i nową epoką: strategicznej konkurencji. Najpierw amerykańscy strategowie i analitycy, a następnie politycy uświadomili sobie, jak groźne z ich punktu widzenia są asertywne i śmiałe strategie nakreślone przez Xi Jinpinga czy to na scenie wewnętrznej („chińskie marzenie” i „wielki renesans narodu chińskiego”), jak też na zewnętrznej, w postaci Inicjatywy Pasa i Szlaku – BRI. A w roku 2019 zrozumiała to nawet Komisja Europejska, po raz pierwszy definiując Chiny jako „systemowego rywala”.

Ta zmiana z zaangażowania na rywalizację dość szybko dała o sobie znać i przybrała formę zainicjowanej w początkach 2018 r. przez prezydenta Donalda Trumpa wojny handlowej. Objęła ona dodatkowymi cłami cały dwustronny handel USA z Chinami, przekraczający rocznie 700 mld. dol. w obie strony (z ogromną chińską nadwyżką przekraczającą 400 mld.), a porozumienie podpisane w Białym Domu 15 stycznia br. było niczym innym, jak tylko klasycznym rozejmem czy za-

wieszeniem broni; albowiem większość podwyższonych cel nie została wcale zniesiona – i nadal obowiązuje.

Na ten stan rzeczy nałożyła się nie spodziewana pandemia COVID-19, zmieniając azymuty naszych zainteresowań oraz rozumienie wielu kwestii. W chwili, gdy piszę te słowa, jest ona jeszcze najwyraźniej daleka od zakończenia, a to od tego, kiedy i jak się ten wielki, globalny kryzys zakończy, będzie zależała nasza przyszłość.

Prawdopodobnie jak w poprzedniej zimnej wojnie, musimy się liczyć z kolejnymi proxy wars, a więc konfliktami poprzez podstawione pionki. Przy tym wojny te, jak wiemy chociażby z doświadczenia Korei czy Wietnamu, mogą trwać latami i pociągnąć wiele ofiar

Jeśli bowiem miałyby być tak jak obecnie, że Chiny deklarują wyjście z pandemii (a przynajmniej jej pierwszej fali), a Zachód nadal się z nią boryka – z wielkimi ofiarami, a największymi na obszarze USA – to nie trzeba nawet być prorokiem, by twierdzić, że może dojść do klasycznej powtórki z historii, tylko na jeszcze większą skalę. Albowiem tak jak po poprzednim, gospodarczym kryzysie z 2008 r. nastąpiło wyraźne przesunięcie ośrodków siły (nie

tylko gospodarczej) z Atlantyku na Pacyfik i wzmocnienie Chin, tak po pandemii 2020 r. obie te tendencje mogą zostać jeszcze bardziej wzmocnione. A to dlatego, że zarówno Chiny kontynentalne, jak inne kraje Azji Wschodniej najwyraźniej lepiej sobie poradziły z wirusem niż Zachód, począwszy od dotychczasowego hegemonu, USA.

Uderzać w słabe punkty

W tej sytuacji już w fazie wstępnej pandemii pierwsza reakcja amerykańskich elit rządzących na nową sytuację jest równie zrozumiała, co logiczna: należy Chinom dokuczyć i w każdy możliwy sposób je osłabiać. Tym bardziej, że mają swoją prawdziwą piętę Achillesa w postaci faktu, iż wirus narodził się w Wuhan na terenie Chin. W ten sposób dotychczasowa wojna handlowa została zamieniona w inny front: propagandowo-medialny, w ramach którego najważniejsi politycy amerykańscy, począwszy od prezydenta, wiceprezydenta i sekretarza stanu, zaczęli otwarcie mówić o „chińskim kryzysie”, „wirusie z Wuhanu”, czy „zarazie płynącej z Chin”.

To akcja zakrojona na szeroką skalę i już niemal wszechobecna. Doświadczyliśmy jej nawet w Polsce, gdzie na łamach jednego najpoczytniejszych naszych portali doszło do bezprecedensowej w dyplomacji, otwartej sprzeczki między panią ambasador USA a ambasadorem Chin. Ta pierwsza zarzuciła drugiej stronie wprost: „Tuszując prawdę, Chiny doprowadziły do globalnej pandemii”. Na to ambasador chiński dosłownie następnego dnia nie tylko argumentował, że USA „przerzucają odpowiedzialność na innych”, ale przy tym zaapelował do strony amerykańskiej, by nie upolityczniała sprawy i tym samym „nie rozsiewała politycznego wirusa”.

To zderzenie jest symptomatyczne i dowodzi jednego: zamiast współpracy, wzajemnego zrozumienia i solidarności w globalnej walce z wirusem, mamy do czynienia z czymś dokładnie odwrotnym – nową odsłoną walki o prymat i prestiż. Innymi słowy, mamy do czynienia z nowym rozdaniem w wojnie hegemonicznej między dotychczasowym hegemonem a pretendentem do tronu, co Graham Allison i eksperci z Harvardu tak ładnie nazwali „pułapką Tukidydesa”.

Tym razem zamienia się ona w bój medialny i propagandowy, najwyraźniej wprowadzając nas w nową fazę – wojny ideologicznej, czyli znanej już nam z nieodległej historii „zimnej wojny” i otwartego starcia dwóch odmiennych kultur i systemów wartości, z których każdy jest święcie przekonany o wyższości swoich rasji.

Albowiem ambitne plany Xi Jinpinga moglibyśmy łatwo sparafrazować słowami Donalda Trumpa: *make China great again...* Owszem, władze w Pekinie, mając na uwadze pierwszą od ponad pół wieku recesję (spadek PKB o 6,8 proc. w pierwszym kwartale br.) oraz wiele wewnętrznych trudności, co wymagałoby odrębnej analizy (zob. mój tekst „Recesja w Chinach, czyli nowa wirówka”) najchętniej od tego zimnowojennego starcia by uciekły.

Jednak Amerykanie najwyraźniej „obudzili się” w stosunku do Chin, a ich polityka wobec Pekinu – co teraz rzadkie, czy wręcz unikatowe w kontekście głębokiej polaryzacji na własnej scenie wewnętrznej – jest objęta dwupartyjnym konsensem. Można więc zakładać, że zapewne nie zejdu z ostatnio obranej ścieżki. No i teraz, w czasach pandemii, uderzają w Chiny wszędzie tam, gdzie tylko mogą (głośny spór o pieniądze dla WHO też tego dowodem). Co z tego wszystkiego wynika?

Wojny podjazdowe

No cóż, prawdopodobnie jak w poprzedniej zimnej wojnie, musimy się liczyć z kolejnymi *proxy wars*, a więc konfliktami poprzez podstawione pionki. Przy tym wojny te, jak wiemy chociażby z doświadczenia Korei czy Wietnamu, mogą trwać latami i pociągnąć wiele ofiar. Teraz już wyraźnie widać, że najlepszymi kandydatami do tego typu starć stają się Hongkong (już od niemal roku objęty turbulencjami) oraz Tajwan, w strategii Chin kontynentalnych traktowany jako warunek *sine qua non* sięgnięcia po wymarzony chiński renesans. Jaki to bowiem renesans, gdy mamy do czynienia z dwoma podmiotami z Chinami w nazwie, czyli z podziałem Chin? Natomiast w strategii amerykańskiej już w połowie minionego stulecia, podczas wojny koreańskiej (1950-53) Tajwan został jednoznacznie zdefiniowany jako „niezależny lotniskowiec na Pacyfiku”.

Nic dziwnego, że liczba nowych inicjatyw amerykańskich wobec Tajwanu po wybuchu pandemii koronawirusa zauważalnie rośnie. A w Waszyngtonie coraz częściej i otwarcie proponuje się „podniesienie globalnego statusu Tajwanu”, czyli mówiąc prościej: wzmocnienie jego praw i ewentualnej suwerenności, będącej otwartym wyzwaniem wobec aktualnej strategii Chin, mówiącej o „pokojowym zjednoczeniu przez Cieśninę”.

Logika zimnowojenna to jednak nie tylko wojny zastępcze czy podjazdowe, ale przede wszystkim bezpardonowe starcie medialno-propagandowe, gdzie wszelkie chwytły – nie tylko tak popularne teraz *fake news* – są dozwolone. Niełatwo będzie się samemu w tym wszystkim odnaleźć, niełatwo zachować zdrowy rozsądek, gdy wokół rozpętały się żywioły i wielkie, gorące, podsyczone ideologicznym żarem emocje.

Nowe szaleństwo władzy?

Do czego ten stan może doprowadzić, udowodniła kiedyś znana amerykańska pisarka historyczna Barbara Tuchman w tomie o znamienym tytule „Szaleństwo władzy”. Chodziło jej o łatwe do zdefiniowania błędy, nawet już na wstępie danego starcia czy konfliktu.

Ideologiczne zacietrzewienie i płynące stąd – często głębokie, trudne do podważenia czy usunięcia – uprzedzenia wobec „wroga” stają się barierą w trzeźwym rozważaniu sytuacji. A brak tego ostatniego oczywiście nierzadko prowadzi do katastrofy i strategicznych porażek. Albowiem porażka bierze się nie tyle z niedołęstwa i nieuctwa władców, ich pychy czy zarozumiałstwa (co oczywiście też częste), ile wynika – jak plastycznie dowodzi Tuchman – z prowadzenia polityki w istocie sprzecznej z własnym dobrze rozumianym interesem, a wynikającej z ideologicznego ferworu.

Tuchman zaczęła opowieść od słynnego konia trojańskiego, ale skończyła relację – i o to jej wtedy chodziło – na zaangażowaniu się Amerykanów na terenie Wietnamu, po wcześniejszym – nieszczęsnym dla nich – wycofaniu się stamtąd Francuzów. Pokazała ona, opierając się na wielu dokumentach, jak Amerykanie – tamtejsi wojskowi, biurokracja, administracja centralna – brnęli z jednego absurdu w drugi, widząc naprzeciw siebie nie tyle prawdziwego przeciwnika i jego realny potencjał, zawsze we własnych kalkulacjach minimalizowany, ile wstrętne komunistę, którego za wszelką cenę należy zmieść z powierzchni ziemi, jako iście odmienny rodzaj człowieka.

Nie wiemy jeszcze, czy teraz grozi nam podobne wyzwanie, ale argumentacja *per* „chiński komuniści” (choć często są to

arcybogaci kapitaliści z portfela) jest coraz chętniej i coraz częściej używana po zachodniej stronie, również i u nas. To nie jest dobrze obrana ścieżka, ale już nią wyraźnie kroczymy.

Widać wyraźnie, że w Pekinie zwycięża raczej nowa, asertywna strategia, czy to w stosunku do Hongkongu i Tajwanu, czy w ramach nowych inwestycji po Szlakach BRI, jak też – jak najbardziej – w podejściu do USA i Zachodu

Chińczycy to wiedzą i widzą. Próbują więc odejść od bipolarnego, zerojedynkowego, ponownego zimnowojennego i dwubiegunowego podziału, szukając za wszelką cenę „trzeciego bieguna”, najchętniej zresztą znajdując go – we własnych kalkulacjach – w Niemczech, Europie Zachodniej czy całej Unii Europejskiej. Zdają sobie bowiem doskonale sprawę z tego, że to też nie są ulubieńcy Donalda Trumpa wołającego „America first!”, a relacje transatlantyckie trzeszczą, szczególnie po brexicie – już dokonanym, choć nadal nie wiadomo, na jakich warunkach.

Jednakże, powiedzmy to otwarcie, obecni mandaryni w Pekinie, z „przewodniczącym od wszystkiego”, kumulującym władzę w jednych rękach Xi Jinpingiem na czele, też nie są bez winy. Narysowali wielce ambitne plany – dla siebie i innych,

a przeciwników i inaczej myślących u siebie (nie tylko w Tybecie, Xinjiangu czy Hongkongu) zmuszają do milczenia lub uległości.

Co gorsza, w odpowiedzi Ameryce i Zachodowi często sięgają po dyplomację spod znaku Wojownika Wilka („Zhan Lang”, ang. „Wolf Warrior”), czyli korzystają z arsenału arcypopularnego w ChRL filmu z 2015 r. w reżyserii Wu Jinga, który w dwa lata później dorobił się nawet sequela, ponownie – co znamienne dla społecznych nastrojów, szczególnie wśród młodzieży – bijącego rekordy popularności. A w filmie tym główny bohater, snajper, a po części kaskader Leng Feng z chińskich jednostek specjalnych ostro rozprawia się z Amerykanami...

To nie jest akurat narracja sprzyjająca dialogowi i deklarowanej oficjalnie przez

Pekin strategii budowy „społeczności dzielącej się odpowiedzialnością” (*community of shared responsibility*). Widać wyraźnie, że w Pekinie zwycięża raczej nowa, asertywna strategia, czy to w stosunku do Hongkongu i Tajwanu, czy w ramach nowych inwestycji po Szlakach BRI, jak też – jak najbardziej – w podejściu do USA i Zachodu.

Pandemia COVID-19, mimo pozornego uśpienia i spokoju oraz zamknięcia nas w czterech ścianach, przyniosła ze sobą jeszcze jeden wymiar chińskiej aktywności, czyli – głośną i u nas – „dyplomację maszeczek”. To jednak nic innego, jak kolejna odsłona nowego rozdania w dynamice relacji między wielkimi mocarstwami. Warto o tym pamiętać, bo jak mówi azjatyckie porzekadło: „Tam gdzie walczą słonie, tam trawa i krewetki będą zdeptane”.

Jak Amerykanie chcą militarnie powstrzymać Chiny



PAWEŁ BEHRENDT

Publicysta, tłumacz,
szef działu aktualności portalu Konflikty.pl

USA szukają wszelkich możliwych sposobów na neutralizację chińskiej strategii A2/AD, i na poziomie teoretycznym robią to skutecznie. COVID-19 wprowadził do tej gry nowy czynnik, którego skutki dopiero poznamy

Rosnąca morską potęgą Chin jest od lat przyczyną bólu głowy amerykańskich decydentów wojskowych i cywilnych analityków. Głównym wyzwaniem jest zniwelowanie przewagi, jaką chińskiej marynarce wojennej w przypadku konfliktu dają przewaga liczebna, walka na własnym podwórku i systematycznie rozwijane systemy antydostępowe. Przedstawiane w Pentagonie pomysły są mniej lub bardziej konwencjonalne, a także – mniej lub bardziej sensowne.

Konkurencja na morzu

Na początek kilka akapitów trzeba poświęcić założeniom chińskiej strategii morskiej. Pozwoli to na większą świadomość tego, z czym muszą się mierzyć Amerykanie. Mimo lat intensywnej rozbudowy i prześcignięcia US Navy pod względem liczebności, w Pekinie zdają sobie sprawę, że chińska marynarka wojenna nadal nie osiągnęła poziomu technicznego potencjalnego przeciwnika i ciągle brakuje jej doświadczenia w operowaniu

dużymi siłami na otwartym morzu. W związku z tym za inspirację wzięto Związek Radziecki i wdrażane w latach 60. i 70. koncepcje admirała Gorszkowa.

W najbardziej ogólnym założeniu strategia ta czyniła z floty wysuniętą linię obrony, której głównym zadaniem było niedopuszczenie do wybrzeży amerykańskich lotniskowców i grup desantowych. Osobną i nigdy niewyjaśnioną kwestią pozostaje, jak daleko wysunięty miał być ten „błękitny pas obrony”. Dla Gorszkowa zasadniczą kwestią było prowadzenie operacji w zasięgu oddziaływania lotnictwa bazującego na lądzie, a także we współpracy z nadbrzeżnymi systemami przeciwlotniczymi i przeciwokrętowymi. Tym sposobem starano się zniwelować przewagę flot USA i sojuszników. Admirał Gorszkow jest więc właściwie twórcą koncepcji antydostępowych (A2/AD).

Trzeba w tym miejscu zaznaczyć, że szeroka obecność radzieckiej floty na Morzu Śródziemnym i jeszcze dalszych wodach miała dwa zasadnicze cele. Z jednej strony było to prezentowanie bandery

i projekcja siły, z drugiej, w przypadku wojny, sposób na odciążenie, przynajmniej przez pewien czas, eskadr przeciwnika od własnych wybrzeży.

Marynarka Wojenna Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (MWChALW), dla której obrona własnych wybrzeży była zawsze kluczowym zadaniem, przyjęła koncepcje Gorszkowa z dużym zainteresowaniem, a następnie przystosowała do swoich potrzeb i rozwinęła dzięki postępowi technicznemu. Podobnie jak w przypadku Związku Radzieckiego, zasięg kolejnych linii obrony na morzu jest niejasno zdefiniowany, jednak koncentrują się one na wodach oblewających Chiny i wokół pierwszego łańcucha wysp, ciągnącego się od Japonii przez Tajwan i Filipiny do Borneo.

Bronić – czy atakować?

Zasadniczo strategia oparta na A2/AD jest więc defensywna, może jednak być z powodzeniem użyta do realizacji ofensywnych celów politycznych, takich jak próba wypchnięcia USA z Azji Wschodniej. Widać to szczególnie wyraźnie na Morzu Południowochińskim. Między współczesnymi Chinami a ZSRR istnieje jedna zasadnicza różnica, istotnie wpływająca na myślenie o strategii morskiej. Chińska gospodarka jako nastawiona na eksport i uzależniona od importu surowców, zwłaszcza węglowodorów, jest w dużym stopniu zależna od kontroli szlaków morskich (SLOC). Z tego względu zadania eskortowe i stała obecność na Oceanie Indyjskim mają dla Chin kluczowe znaczenie. Podobnie jednak jak flota radziecka, także MWChALW ma ograniczone możliwości operowania dużymi zespołami z dala od własnych baz.

Tak jak w okresie zimnej wojny, mamy zderzenie dwóch sposobów myślenia o konfrontacji na morzu. Z racji przedstawionych wyżej uwarunkowań, radziecko-chińskie koncepcje klasyfikowane są jako *sea denial*. Ogólnie mówiąc, głównym zadaniem marynarki wojennej jest niedopuszczenie przeciwnika na określony obszar. US Navy, wychowana w duchu admirała Alfreda Mahana, działa natomiast w celu zdobycia panowania na morzu (*sea control*), nawet jeżeli obszar i czas kontroli danego akwenu mają być ograniczone. Warto jeszcze wspomnieć,

Przyjęte strategie i założenia polityczne sprawiły, że Amerykanie od momentu zetknięcia z chińskimi strefami antydostępowymi zaczęli myśleć o tym, jak je przełamać

że koncepcjom Mahana od co najmniej trzech dekad poświęca się w Chinach bardzo dużo uwagi. Z jednej strony Pekin marzy o stworzeniu oceanicznej floty zdolnej do wywalczenia panowania na morzu, z drugiej strony pozwala to poznać sposób myślenia przeciwnika. Równie istotne jest sformowane przez Mahana założenie, że potęga morska i panowanie na morzu są warunkami *sine qua non* bycia mocarstwem. Założenie to po raz kolejny okazuje się uniwersalne i przydatne tak dla USA, jak i Chin.

Przyjęte strategie i założenia polityczne sprawiły, że Amerykanie od momentu zetiknięcia z chińskimi strefami antydostępowymi zaczęli myśleć o tym, jak je przełamać. Jako pierwszy z problemem uporał się Korpus Piechoty Morskiej, który we wrześniu 2017 opublikował strategię LOCE (*Littoral Operations in Contested Environments*). Jak sama nazwa wskazuje,

Z lotnictwem związany jest pomysł komandora podporucznika Johna M. Leedsa, który na łamach magazynu „Proceedings”, wydawanego przez United States Naval Institute, zaproponował przywrócenie znanych z okresu drugiej wojny światowej mieszanych eskadr patrolowo-bombowych (Patrol Bombing Squadron, VPB)

doktryna koncentruje się na operacjach w silnie bronionych rejonach przybrzeżnych. Ówczesny dowódca USMC, generał Robert Neller, mówił o odwróceniu dotychczasowych schematów. Do tej pory marynarka wojenna najpierw walczyła o panowanie na morzu i w powietrzu, by przeprowadzić desant. W myśl LOCE, marines opanowują obszary lądowe, by następnie przy użyciu własnych systemów przeciwlotniczych i przeciwokrętowych

wspomóc US Navy w walce o kontrolę nad danym obszarem.

Podobnie jak w przypadku A2/AD, nie jest to nowa koncepcja. W latach 80. amerykańskie lotniskowce miały atakować daleki wschód Rosji z regionu najbardziej na północ wysuniętej japońskiej wyspy Hokkaido, gdzie mogły operować przy wsparciu lądowego lotnictwa oraz systemów przeciwlotniczych i przeciwokrętowych. Koncepcja ta została odkurzona również przez Japończyków. Założenia na wypadek konfliktu z ChRL na Morzu Wschodniochińskim mówią o rozmieszczeniu na kontrolowanych i odbijanych wyspach własnych systemów przeciwlotniczych i przeciwokrętowych, których zadaniem jest wsparcie marynarki i lotnictwa w walce o panowanie na morzu i w powietrzu.

Rozpraszanie sił

LOCE jest cały czas sukcesywnie rozwijana. Na początku tego roku przedstawiono koncepcję kolejnego jej elementu – *Marine Littoral Regiment* (MLR). Ma być to jednostka przeznaczona do operacji na silnie bronionych obszarach przybrzeżnych. Wyposażony w liczne powietrzne, lądowe i wodne bezzałogowce, środki rażenia dalekiego zasięgu i systemy przeciwlotnicze LMR ma wspierać tworzenie wysuniętych baz USMC. Idea jest jeszcze na wczesnym etapie realizacji: cały czas trwają prace nad organizacją jednostki, jej wyposażeniem i konkretnymi zadaniami.

Sposobów na bańki antydostępowe szuka także US Army. W styczniu tego roku sekretarz wojsk lądowych Ryan McCarthy zapowiedział powołanie specjalnej grupy zadaniowej przeznaczonej do przełamania chińskich i rosyjskich stref A2/AD. Badane rozwiązanie wpisuje

się w koncepcję bitwy/operacji wieloaspektowej (*multidomain battle/operation*) i zakłada skoordynowany atak prowadzony w cyberprzestrzeni, w spektrum elektromagnetycznym oraz przy użyciu artylerii i pocisków dalekiego zasięgu odpalanych z okrętów i wyrzutni lądowych. Trzeba zwrócić uwagę, że w ostatnich miesiącach w USA znacznie przyspieszono prace nad pociskami hipersonicznymi. O ile skuteczność tej broni w wymiarze strategicznym jest poddawana w wątpliwość, to w skali operacyjnej i taktycznej może być ona cennym atutem, minimalizując czas, jaki przeciwnik ma na reakcję.

W przypadku artylerii powrócono po kilku dekadach przerwy do prac nad działami o donośności kilkuset kilometrów. Z kolei dla klasycznej artylerii lądowej i okrętowej dostępna jest już precyzyjna amunicja o zasięgu nawet 85 km.

W ogólnym zarysie, US Army planuje więc osłepienie i czasowe wyłączenie systemów obserwacji i dowodzenia wroga, a następnie eliminację środków rażenia. W ten sposób wybite mają zostać dziury w A2/AD, przez które wtargną siły powietrzne i morskie. Specjalna grupa zadaniowa miałyby zostać rozmieszczona „na wyspach na wschód od Tajwanu i Filipin”. Na myśl przychodzi Guam, jednak pod uwagę należy brać też inne wyspy na Pacyfiku kontrolowane przez USA, Japonię i Australię. Jest to zgodne z koncepcją rozpraszania własnych sił (*dispersed lethality*), przy jednoczesnym przesuwaniu ich poza zasięg rażenia chińskiego lotnictwa i marynarki wojennej.

Co z lotnictwem?

Z lotnictwem związany jest pomysł komandora podporucznika Johna M. Leedsa, który na łamach magazynu „Proceedings”,

wydawanego przez United States Naval Institute, zaproponował przywrócenie znanych z okresu drugiej wojny światowej mieszanych eskadr patrolowo-bombowych (Patrol Bombing Squadron, VPB). W ich skład miałyby wejść samoloty patrolowe P-8A Poseidon marynarki wojennej i bombardowce strategiczne B-1B Lancer sił powietrznych. Samoloty uzupełniałyby się nawzajem: P-8A jest wyposażony w bogaty zestaw sensorów do wykrywania okrętów nawodnych i podwodnych, przenosi natomiast mało uzbrojenia. Z kolei B-1 może zabrać nawet 24 pociski przeciwokrętowe LRASM, ale ma ograniczone możliwości wykrywania celów nawodnych.

Leeds postuluje więc, by eskadry VPB operowały z Guamu, i w strefie między pierwszym a drugim łańcuchem wysp polowały na chińską flotę. Działając w zespołach hunter-killer Poseidony mogłyby skoncentrować się na zwalczaniu okrętów podwodnych i wskazywaniu celów Lanceroom. Do tego zasięg LRASM sięgający 400 km umożliwiłby zwalczanie chińskich okrętów spoza zasięgu ich systemów przeciwlotniczych.

Jak zauważył Maciej Hyps z portalu konflikty.pl, mimo pozornej atrakcyjności pomysł napotyka szereg problemów od strony organizacyjnej i operacyjnej. Komu podlegałyby samoloty wchodzące w skład VPB? Czy lotnictwo, w celu usprawnienia działań, przekazałoby swoje B-1 marynarce? Do tego Lancery są już dość mocno wyeksploatowane i część z nich już w przyszłym roku zostanie wycofana ze służby. Trudno też spodziewać się, że US Navy zechce przyjąć kosztowne w utrzymaniu bombardowce.

Do tego, jak już zaznaczono wyżej, Guam znajduje się na priorytetowej liście chińskich celów na wypadek wojny. Dla bezpieczeństwa mieszane eskadry mu-

siałyby operować z baz na Hawajach lub w Australii. Tutaj wchodzi w grę tyrania dystansu: działania VPB musiałyby zabezpieczać liczne latające cysterny, co z kolei wymuszałoby wywalczenie panowania w powietrzu w rejonie działań. Alternatywnym rozwiązaniem jest uderzenie wyprzedzające i likwidacja większości chińskich pocisków zagrażających Guamowi.

Zagrożenie stwarzane przez Chiny dla wyspy jest najwyraźniej traktowane poważnie, bowiem 23 kwietnia ogłoszono wycofanie z niej bombowców. Pentagon nie podał uzasadnienia takiej decyzji, ale w grę wchodzi też obawa przed zarażeniem załóg koronawirusem SARS-CoV-2. Z drugiej strony, zaledwie kilka dni później B-1 pojawiły się na ćwiczeniach w Japonii. Wycofanie bombowców z Guamu wpisuje się więc równie dobrze w *dispersed lethality* i realizację wprowadzonej w roku 2018 strategii zmniejszania przewidywalności rozmieszczenia amerykańskich sił na świecie.

Kaperstwo wraca do łask?

Inne pomysły przedstawiane Pentagonowi sięgają jeszcze dalej w przeszłość. Na początku 2019 pojawiły się głosy za uzbrajaniem statków handlowych. Pomysł zakłada wyposażenie kontenerowców i tankowców w 30-50 pionowych wyrzutni pocisków raketowych. Uzbrojone statki nie otrzymywałyby zaawansowanych systemów elektronicznych i odpalałyby pociski według danych podawanych przez okręty wojenne. Tym sposobem za stosunkowo niewielkie pieniądze zwiększona miałaby zostać siła ognia zespołów floty. W zależności od zakresu prac koszt przebudowy szacowany jest na 25-50 milionów dolarów.

Pomysł, chociaż z pozoru szalony, ma swoje zalety. W trakcie obu wojen światowych uzbrojone statki handlowe wykorzystywano do obrony konwojów, co pozwalało skierować okręty do innych zadań lub uzupełnić niedobory eskortowców. Duże jednostki cywilne są też relatywnie odporne na ciosy, co można także poprawić w ramach przebudowy. Za zadaniami eskortowymi przemawia jeszcze jeden fakt: zwykle kontenerowce i tankowce nie są w stanie nadążyć za zespołami floty.

Uzbrajanie statków handlowych było na przestrzeni dziejów powszechną praktyką, podobnie jak kolejny pomysł zgłoszony na łamach „Proceedings” przez pułkownika US Marine Corps w stanie spoczynku Marka Canciana i analityka Brandona Schwartza, którzy postulują powrót do kaperstwa. Założenie obu autorów jest następujące: w związku z dużą zależnością chińskiej gospodarki od importu węglowodorów i eksportu, najlepszą drogą do uderzenia w Chiny jest atak na flotę handlową.

Z jednej strony chińska marynarka wojenna nie jest, jak już wspomniano, zdolna do utrzymywania przez długi czas silnych zespołów daleko od wód macierzystych; z drugiej jednak trudno oczekiwać, by US Navy odsyłała cenne niszczyciele do polowania na statki handlowe. Cancian i Schwartz proponują skorzystanie z firm świadczących usługi wojskowe, takich jak Blackwater. Przedsiębiorstwa te udowodniły już, że są zdolne do prowadzenia operacji morskich, kierując około 40 prywatnych patrolowców przeciwko somalijskim piratom.

Kaperstwo to piractwo w wykonaniu prywatnych armatorów, podejmujących ten proceder na podstawie otrzymanych od rządu listów kaperskich. To odróżnia ich od korsarzy, którzy są „profesjonal-

nymi” piratami działającymi na zlecenie rządu. Wprawdzie oba procedery zostały zakazane deklaracją paryską z roku 1856, ale ani USA, ani Chiny jej nie ratyfikowały. Co więcej, w amerykańskim prawie zachowały się przepisy dotyczące przyzu, czyli zajętych statków i ładunków. Właśnie sprzedaż przyzu miałyby być głównym źródłem finansowania kaperstwa w XXI w. Zdaniem Canciana i Schwartz, uchwalenie odpowiednich przepisów przez Kongres i organizacja floty kaperskiej powinny zająć kilka tygodni od wybuchu konfliktu.

Także tutaj pojawiają się liczne problemy. Pierwszym jest to, czy i w jaki sposób Chiny zabezpieczą się przed takim asymetrycznym zagrożeniem. Drugi problem to poważne wyzwanie dla amery-

kańskiej dyplomacji, która będzie musiała stale naciskać na państwa sprzymierzone i neutralne, by pogodziły się z działalnością kaprów.

Jak widać, USA szukają wszelkich możliwych sposobów na neutralizację chińskiej strategii A2/AD i na poziomie teoretycznym robią to skutecznie. COVID-19 wprowadził do tej gry nowy czynnik, którego skutki dopiero poznany. Z pewnością nie można mówić o radykalnej zmianie sytuacji na niekorzyść Waszyngtonu. Pandemia rozpoczęła się przecież w Chinach, i tak długo, jak nie poznamy realnych szkód, jakie tam poczyniła, nie można przedstawić konkretnych wniosków. Piłka jest cały czas w grze, a obie strony mają swoje atuty i słabe punkty.

Polska stanu wyjątkowego



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Dyrektor „Nowej Konfederacji”

Jesteśmy w faktycznym stanie wyjątkowym: powstały w wyniku pandemii i reakcji polskich polityków chaos podważył dotychczasowe reguły życia politycznego, stwarzając konieczność ustanowienia ich na nowo

Mamy w Polsce stan wyjątkowy. De facto, nie de iure. A więc taki stan, w którym dotychczasowe normy, właściwe dla – mniej lub bardziej ułomnego, zostawmy teraz ten gorący spór na boku – państwa prawa i ładu liberalno-demokratycznego, nie obowiązują, ustępując miejsca arbitralnym decyzjom władzy. „Czasowe zawieszenie podstawowych praw i wolności obywatelskich. Gigantyczne kary finansowe, nawet sześć razy wyższe od tych zasądanych w stanie klęski żywiołowej. Nakładanie kar na podstawie notatek urzędowych policji, bez prawa do obrony, oceny winy i gwarancji zapewnianych przez prawo karne, z rygorem natychmiastowej wykonalności i ograniczeniem prawa do sądu. Mandaty z wątpliwymi podstawami prawnymi. Policja dokonująca wiążącej wykładni prawa. To nie reportaż z odległego autorytarnego kraju, w którym nikt nie słyszał o idei państwa prawa. Tak wygląda polska rzeczywistość prawna w stanie epidemii” – wyliczał niedawno Tomasz Pułról, słusznie zastrzegając, że lista mogłaby być znacznie dłuższa. Można

by do niej dodać niekonstytucyjny zapewne stan epidemii i cały szereg pomniejszych naruszeń przepisów przez władzę. Wszystko to jednak błędnie wobec zupełnie wyjątkowego przedsięwzięcia, jakim okazała się organizacja wyborów prezydenckich w dobie pandemii. Przygotowywanie elekcji pocztowej bez podstawy prawnej jest tu przy tym najmniejszym problemem.

Czysty decyzyjizm

Najpierw parcie do ewidentnie niekonstytucyjnych (w każdym razie w tej formie) wyborów korespondencyjnych, potem ich bezprawne nieodbycie, to już nie pomniejsze (nawet jeśli liczne i dotkliwe) naruszenia przepisów, ale – podważenie obu wielkich zasad liberalnej demokracji: państwa prawa i samej demokracji. Pierwszego, bo dokonało się to bez podstawy prawnej, dotykając zarazem najbardziej rdzeniowej dla znanego nam ustroju politycznego kwestii, jaką są wybory. Drugiej, bo to właśnie w wyborach wyrażana wola ludu została – w swojej proceduralnej

możliwości – zmanipulowana. I to w dwóch fazach i na dwa sposoby.

Zauważmy przy tym, że o ile w dotychczasowych sporach konstytucyjnych rządzący PiS zawsze argumentował, że 1) to on przestrzega ustawy zasadniczej, inaczej niż krytycy rozumiejąc poszczególne jej przepisy, 2) ewentualne wątpliwości prawne blakną wobec zasady rządów większości, o tyle teraz 1) przestał w ogóle sięgać po jakiegokolwiek uzasadnienia prawne w sposób dotyczący 2) samych wyborów, czyli procedury wyrażania swojej woli przez naród. Podważone zatem zostały w sposób ewidentny obie główne zasady normujące nasz system polityczny. O ile wiele – bynajmniej nie tylko polskich – wewnętrznych konfliktów politycznych ostatnich lat można wyjaśnić rozejściem się tych dwóch żywiołów (liberalnego i demokratycznego) i przedkładaniem przez różne stronnictwa jednej z tych zasad nad drugą, o tyle w Polsce ostatnich miesięcy obserwujemy jednoczesne podważenie ich obu.

W tym sensie obecna sytuacja w Polsce, z symbolicznym „porozumieniem dwóch Jarosławów” (postanawiających nie odbyć wyborów, komunikujących to za pomocą oświadczenia dwóch nieuprawnionych osób, przewidujących w dodatku określoną decyzję formalnie niezależnego Sądu Najwyższego w tej sprawie) na czele, jest wydarzeniem z dziedziny czystego decyzyzmu. Jego najważniejszy teoretyk, niemiecki filozof i prawnik Carl Schmitt definiował tę doktrynę prawno-polityczną jako upatrującą źródła ładu politycznego właśnie w arbitralnej decyzji politycznego suwerena, pozbawionej podstaw w prawie pozytywnym – jako kreacyjnej podstawy ładu politycznego. Jak pisał w „Teologii Politycznej”: „rozstrzygnięcie jako takie jest już wartością, ponieważ właśnie wśród

rzeczy ważnych najważniejsze jest, że rozstrzygnięcie zapada, jak i to, że już się dokonało”. I dalej: „Żadna norma nie stosuje się do chaosu. Aby porządek prawny miał sens, wpierw musi zostać ustanowiona sytuacja normalna. Władza suwerena to właśnie władza decydowania o tym,

Jesteśmy w faktycznym stanie wyjątkowym: powstały w wyniku pandemii i reakcji polskich polityków chaos podważył dotychczasowe reguły życia politycznego, stwarzając konieczność ustanowienia ich na nowo. Przeprowadzenie tego procesu spada póki co, siłą rzeczy, na rząd Zjednoczonej Prawicy

czy panująca sytuacja jest rzeczywiście normalna. Suweren tworzy sytuację jako całość i zapewnia jej trwały charakter. To on zachowuje monopol na podejmowanie ostatecznych decyzji. Na tym polega istota suwerennej władzy w państwie, która z prawnego punktu widzenia nie jest wcale monopolem stosowania przymusu lub monopolem panowania, lecz dokładnie wyłączością na podejmowanie ostatecznych decyzji. (...) decyzja jest niezależna od normy prawnej i, paradoksalnie władza nie potrzebuje prawa, by ustanowić porządek prawny”.

Stan wyjątkowy de facto

Chaos, poprzedzający faktyczny stan wyjątkowy, pojawił się w Polsce z dwóch przyczyn. Po pierwsze, wywołała go pandemia koronawirusa SARS-CoV-2, destabilizując ogólną sytuację i zderzając się z kalendarzem wyborczym. Drugą przyczyną jest parcie obozu PiS do majowych wyborów. Parcie na tyle silne, że posuwające się do negacji tak zasady państwa prawa, jak i demokratycznej procedury.

Zostawmy na boku, w jakim stopniu to drugie było słuszne lub nie. Dopiero połączenie tych dwóch elementów mogło dać taki efekt, jaki obserwujemy. Faktyczny stan wyjątkowy wywołała – w krajach całego świata – pandemia. Natomiast w państwach liberalno-demokratycznych sposób wprowadzania takiego stanu reguluje konstytucja, co odzwierciedla fakt, że suwerenem jest w nich lud, rządzący poprzez wybór reprezentacji politycznej i pękanie jej rygorami państwa prawa. „Ten, kto decyduje o stanie wyjątkowym, jest suwerenny”, by ponownie przywołać Schmita. Nie inaczej w Polsce, gdzie ustawa zasadnicza nazywa ową sytuację, o której tu mowa – „stanem nadzwyczajnym”, przybierającym z kolei trzy możliwe formy prawne (stan wojenny, wyjątkowy, klęski żywiołowej). Nie decydując się na skorzystanie z legalizacji stanu wyjątkowego poprzez wprowadzenie formalnego stanu klęski żywiołowej obóz PiS zdecydował, chcąc nie chcąc, o stanie wyjątkowym w sensie politycznym: zawieszenia dotychczasowych, podstawowych norm na rzecz norm ustanawiających *ex nihilo* (z niczego) nowy porządek polityczny.

Alternatywną – moim zdaniem najmniej złą z punktu widzenia interesu publicznego – opcją było przyjęcie początkowej propozycji ówczesnego wicepremiera Ja-

rosława Gowina: wydłużenia kadencji prezydenckiej o dwa lata. Byłby to rodzaj puczu konstytucyjnego stabilizującego sytuację w imię okiełznania niestabilności wywołanej nadzwyczajnością sytuacji. Złamanie konstytucji byłoby tu wymuszonym przyczynami niezależnymi (pandemią) aktem, pozwalającym zredukować stan wyjątkowy do jednego momentu zmiany ustawy zasadniczej i od razu ustabilizować nowy porządek.

Umyślnie – czy tak wyszło?

Teraz natomiast jesteśmy w stanie wyjątkowym o nieokreślonym czasie trwania. Z pewnością jego ramy wyznacza, jako pierwotne źródło, pandemia. Rysują się tu dwie zasadnicze możliwości rozumienia tej sytuacji.

Pierwsza: PiS (a w zasadzie jego suweren Jarosław Kaczyński) wprowadził nas, przy okazji pandemii, w faktyczny stan wyjątkowy umyślnie. Ma więc wizję nowego porządku politycznego i dokona próby wcielenia jej w życie. Najbardziej prawdopodobne formy tego ładu to: 1) skorygowana wersja postkomunistycznej demokracji liberalnej, 2) demokracja neoliberalna (zapewne w tyłu zbliżonym do węgierskiego, 3) rodzaj autorytaryzmu.

Możliwość druga: PiS wprowadził nas w faktyczny stan wyjątkowy w istocie niechcący, nie w pełni rozumiejąc konsekwencje własnych czynów. Chciał po prostu jak najszybciej, póki trwa efekt konsolidacji społeczeństwa wokół władzy, przeprowadzić i wygrać wybory, ale sprawy się skomplikowały. Logika rozwiązywania konkretnych problemów – czy związanych z wyborami, czy ze sprzeciwem Gowina – tu i teraz wyprowadziła go poza przewidywane ramy. Wskazuje na to fakt, że każde z podważań ważnych norm było

związane z tego rodzaju bieżącymi problemami. Żadne nie nosiło znamion uroczystego ustanawiania nowego porządku politycznego. Ta, bardziej prawdopodobna moim zdaniem możliwość, byłaby niezwykle ostrą oceną jakości obecnych rządów.

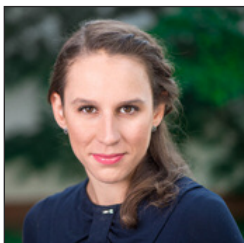
W każdym razie jesteśmy w faktycznym stanie wyjątkowym: powstały w wyniku pandemii i reakcji polskich polityków chaos podważył dotychczasowe reguły życia politycznego, stwarzając konieczność ustanowienia ich na nowo. Przeprowadzenie tego procesu spada póki co, siłą rzeczy, na rząd Zjednoczonej Prawicy.

Rysują się tu trzy główne scenariusze. Pierwszy – to wariant próby odtworzenia reguł sprzed pandemii. Zwłaszcza jeśli ich bezprecedensowa dewastacja nie była intencjonalna, może zostać wytłumaczona jako wymuszona sytuacją i być stopniowo

odwracana, w miarę możliwości. Oznacza to jednak konieczność zmierzenia się z długą listą oskarżeń o złamanie prawa. I z oporem rzeczywistości, zmienionej nieodwracalnie pod pewnymi względami.

Drugi – to scenariusz budowania nowego ładu politycznego we wspomnianych wariantach. Trzeci – to przedłużający się chaos: brak jasnego planu politycznego, zderzony z czynnikami destabilizującymi i tak już poważnie zdestabilizowany porządek. A więc – brak suwerena. Co za tym idzie, wyłonienie się nowego po dłuższym czasie rozkładu norm i postępującej anarchizacji. Anarchizacji będącej w istocie polityczną tragifarsą, w której fundamentalne dla zbiorowego życia kilkudziesięciu milionów ludzi skutki wywoływane są przez decydentów bez zrozumienia konsekwencji własnych czynów.

Jak uczyć w domu i nie zwariować?



ANNA SZCZERBATA

Członek zespołu „Nowej Konfederacji”

Co zrobić, żeby przezwyciężyć choć część trudności związanych z nauką dzieci w domu podczas epidemii? W przygotowaniu poniższych rekomendacji pomogli mi rodzice dzieci w edukacji domowej, nauczyciele i sami uczniowie

– To ile wam dziennie zajmuje czasu ta cała szkoła? – zapytałam ucznia 7 klasy szkoły podstawowej w Grudziądzu.

– A to zależy. Czasami to dwie minuty, bo tylko coś muszę kliknąć. A czasami to długo, nawet ze dwie godziny...

Naturalnie ta informacja przywodzi na myśl refleksję, że chyba nie najlepiej idzie ta nauka w domu. I w tym przypadku z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że tak właśnie jest – że ani nauczyciele, ani uczniowie tej szkoły nie wznoszą się na wyżyny swoich możliwości.

Są jednak sytuacje, w których taki stosunkowo niedługi czas poświęcony na realizację podstawy programowej nie musi oznaczać, że dziecko uczy się mało. Wielu rodziców, którzy wybrali dla swoich dzieci edukację domową zamiast tradycyjnej szkoły mówi, że na przerobienie materiału, który w szkole realizuje się w ciągu 5-6 godzin, w domu wystarczy 1,5 godziny. Jak to możliwe? W szkole na każdą 45-minutową lekcję przypada około 15 minut nicnierobienia (zajmowanie miejsc, sprawdzanie listy, zgłaszanie nieprzygotowań,

sprawdzanie prac domowych), a pozostałe 30 minut wykorzystywane jest nieefektywnie (odpytywanie jednego spośród dwudziestu-trzydziestu uczniów, różnego rodzaju zakłócenia itd.). Dobra wiadomość jest więc taka, że efektywne przeprowadzenie nauki w domu, nawet przy ograniczonym czasie, nie jest niemożliwe.

Tyle wprowadzenia. Teraz konkrety ściśle związane z sytuacją, w której znaleźli się rodzice ponad 4,5 miliona uczniów w całej Polsce. Żeby dowiedzieć się, jak to w praktyce wygląda, przeprowadziłam wiele rozmów, zarówno z uczniami, jak i z rodzicami. Ograniczę się do opisu realii szkół publicznych, prywatne pozostawiając na boku jako nie do końca reprezentatywne.

Największe problemy

Podstawowym problemem, z którym borykają się obecnie rodzice, jest brak czasu. W normalnych warunkach szkoła, oprócz edukacyjnej, pełni też w wielu przypadkach funkcję przechowalni dzieci, więc aktualna

sytuacja jest dla zapracowanych ojców i matek bardzo trudna. Większość z nich musi teraz „jednocześnie” pracować i zajmować się swoimi pociechami, w tym, o zgrozo, ich edukacją.

Szkoły, nawet najlepiej zorganizowane, nie są w stanie wziąć na siebie ciężaru utrzymania dyscypliny wśród uczniów siedzących w domach. Prawda jest taka, że wiele z nich nie jest też w stanie zapewnić odpowiedniego wsparcia w nauce. Nauczyciele wielu placówek zarzucili rolę wykładowców, mentorów. Ograniczają się do wysyłania rodzicom mailowo zadań z podręczników. Jedna z mam, z którymi rozmawiałam, skarżyła się, że nauczyciele jej kilkunastoletnich dzieci potrafią wysłać do niej siedemnaście wiadomości jednego dnia, większość z nich po godzinie 21. Swoją drogą treść wiadomości, w tym znajomość polszczyzny, pozostawia naprawdę wiele do życzenia. Inna rozmówczyni zwróciła mi uwagę na to, że wiadomości od nauczycieli do rodziców najczęściej zawierają kilkugodzinny termin realizacji, np. w wiadomości z 8:00 rano nauczyciele zlecają uczniom, via skrzynki mailowe ich rodziców, wykonanie wskazanych zadań do godziny 12:00. To absurd, zważywszy na to, że w warunkach domowych często niemożliwe (ale też nieefektywne, o czym za chwilę) jest utrzymywanie reżimu „dnia szkolnego”.

Dodatkowym problemem jest brak umiejętności cyfrowych nauczycieli. Gdyby byli choć trochę obyci z siecią, byłiby w stanie znajdować atrakcyjne materiały do nauki. Internet jest ich pełen. Niestety, najczęściej kończy się na wspomnianym przesyłaniu stron z podręcznika do przeczytania i zadań do rozwiązania. To oczywiście skutkuje brakiem zainteresowania i motywacji ze strony dzieci i młodzieży.

A skoro uczniowie nie są zainteresowani nauką, to robią to, co robić najłatwiej: spędzają czas przed telewizorem, konsolą, ekranem smartfona, komputera czy tabletu skrolując media społecznościowe, grając w gry i prawdopodobnie, co gorsza, natrafiając na treści pornograficzne, agresywne, wulgarne.

Trzeba wprowadzić w domu jakąś formę organizacji pracy i kontroli efektów. Najlepiej, żeby „kontrolującym” nie był rodzic, ale samo dziecko

W takim scenariuszu szczęściem w nie-szczęściu może być kolejny „problem”, który dotyka wielu rodzin w Polsce – mianowicie niewystarczająca liczba komputerów w domu. Nie ma właściwie żadnego powodu, dla którego każde z dzieci w rodzinie powinno mieć własny komputer. Wręcz przeciwnie, jak pisałam kilka miesięcy temu w artykule „Ratujcie mózgi swoich dzieci”, badania amerykańskie, brytyjskie, rumuńskie i portugalskie wykazały zgodnie, że dostęp do komputerów i internetu sprawia, że uczniowie, zamiast się edukować, poświęcają swój czas na elektroniczne rozrywki, a ich wyniki w nauce się pogorszą.

Ostatni problem, jaki warto wymienić, to kwestia samodyscypliny dzieci, która jest niezbędna w sytuacji, gdy nikt nie stoi nad ich głowami, pilnując, czy na pewno zajmują się nauką.

Dobre rady

Co w takim razie robić, żeby przezwyciężyć chociaż część ze wspomnianych trudności? W przygotowaniu poniższych rekomendacji pomogli mi rodzice dzieci w edukacji domowej, nauczyciele i sami uczniowie. Podstawowym założeniem jest to, że rodzice mają chęć zainteresować się edukacją swoich dzieci.

Po pierwsze: zasady

Trzeba wprowadzić w domu jakąś formę organizacji pracy i kontroli efektów. Najlepiej, żeby „kontrolującym” nie był rodzic, ale samo dziecko.

– My mamy w domu taką tabelkę, w której każde dziecko ma zapisane zadania codzienne: angielski, hiszpański, matematyka, pisanie, czytanie i trening. Dzieci do godziny 18:00 każdego dnia mają wykonać dowolne zadanie w tym zakresie. Ja w ciągu dnia przypominam tylko, ile godzin zostało do 18:00 i co jeszcze mamy rodzinnie w planie, żeby mieli obraz sytuacji. Odkąd zrobiliśmy tabelkę i zaczęli sami zarządzać swoim czasem, współpraca jest dużo łatwiejsza – powiedziała mi mama piątki dzieci, w tym dwójki w edukacji domowej.

– Mam świadomość, że rodzice pracują w domu. Dziecku jednak potrzebny jest czas, bo nie zawsze zrozumie od razu dany temat czy zagadnienie. Dlatego dobrze jest ustalić ramy czasowe w ciągu dnia, kiedy rodzic jest do dyspozycji dziecka, kiedy dziecko może przyjść po pomoc, nie obawiając się, że będzie przeszkadzać – doradziła nauczycielka jednej z warszawskich szkół podstawowych. Takie rozwiązanie porządkuje zarówno pracę rodzica, jak i dziecka, wprowadzając pewną regularność i punkt odniesienia.

Po drugie: indywidualne uwarunkowania

Jeżeli szkoła daje taką możliwość, nie wysyłając zadań na określone godziny, należy dopasować plan nauki do preferencji i możliwości dzieci i rodziców. Sen jest ważny, a fakt, że nie ma potrzeby zrywać dzieci z łóżek o świcie, może dać rodzicom większą przestrzeń do spokojnej pracy, a dzieciom do wypoczynku przed nauką. Być może nauczyciele dadzą się przekonać do racjonalizacji i zgodzą się wysłać zadania z większym wyprzedzeniem lub bardziej elastycznym terminem, tak aby rodziny mogły niezależnie od szkoły planować swoje aktywności. Jednym z atutów edukacji domowej jest właśnie wyzwolenie się ze sztywnego gorsetu zajęć szkolnych i dopasowanie nauki do indywidualnych uwarunkowań.

Po trzecie: holistyczne podejście

Charakterystyczne dla szkoły sztywne rozgraniczenie przedmiotów nie musi bez przerwy towarzyszyć nauce w domu. Oczywiście zadania domowe trzeba zrobić, ale na co poświęci się resztę czasu – zależy już od rodziców. Klasycznym pomysłem na połączenie kilku dziedzin i rodzajów umiejętności jest wciąganie dzieci w aktywności dorosłych: gotowanie, majsterkowanie, prace w ogródku, sprząatanie, przygotowywanie balkonu na wiosnę, czy nawet czytanie „dorosłych” książek i artykułów, albo objaśnianie, czym zajmują się rodzice w pracy – to doskonałe sposoby na naukę. Dzieci nigdy nie uczą się lepiej niż podczas naśladowania rodziców.

Gotowanie można wykorzystać do nauki liczb, miar, wag. Grzebanie przy rowerze – do zrozumienia niektórych praw fizyki, prace ogrodnicze – do nauki przy-

rody, a wspólna lektura na pozór niezrozumiałych dla dzieci treści potrafi otworzyć wiele kłapek w mózgach młodzieży i połączyć naukę polskiego z historią, wiedzą o społeczeństwie czy biologią, zależnie od zawodu rodzica. Takie zaangażowanie w rozmaite prace, zamiast ślęczenia nad zeszytem czy przed ekranem komputera ma też tę zaletę, że uwzględnia wykorzystanie innych części ciała niż jedna dłoń, a to z kolei nie tylko dobrze wpływa na zdrowie dzieci, ale też pobudza pracę mózgu, sprawiając, że informacje są przetwarzane głębiej i na kilka sposobów,

Jedną z najważniejszych zasad, jeśli chcemy nie tylko przetrwać, ale i czegoś nasze dzieci nauczyć, jest zachowanie dyscypliny i higieny umysłowej wszystkich członków rodziny

a w konsekwencji są lepiej zapamiętywane. Dla naukowców zajmujących się procesem uczenia od dawna nie jest tajemnicą, że jeśli do nauki posługujemy się tylko kliknięciem myszki, to uczymy się gorzej, niż gdybyśmy dany wyraz napisali w całości na kartce, a z kolei napisanie na kartce to mniej niż dotknięcie przedmiotu, wykonanie z nim kilku czynności i przekonanie się na własnej skórze, jak coś działa. Chodzi o głębokość przetwarzania informacji. Wszystkie urządzenia, które skracają procedurę przetwarzania nowej informacji i spływają naszą interakcją z nią, sprawiają, że gorzej ją zapamiętujemy.

Po czwarte: świat naszych dzieci nie kończy się na rodzicach i nauczycielach

Zwłaszcza w czasie, kiedy nasze kontakty społeczne są mocno ograniczone, kultywowanie więzi z rodziną i przyjaciółmi wydaje się potrzebne. I tutaj już technologia się przyda. W wyjaśnieniu zawłości chemii może pomóc ciocia-farmaceutka, poczytać po angielsku może przysłowiowy wujek z Ameryki, o biologii chętnie opowie babcia-pielęgniarka. Jeśli uda się doprowadzić do tego, że nasi znajomi i rodzina zaangażują się choćby w najmniejszych stopniu w edukację naszych pociech, wygrywamy na trzech płaszczyznach: po pierwsze dziecko uczy się od praktyka, co zawsze jest ciekawsze, po drugie – podtrzymujemy relacje towarzyskie, po trzecie – rodzice znów zyskują czas dla siebie.

Po piąte: dajmy im trochę luzu

Wolny czas sprzyja wyobraźni. Jeśli tylko nie zostanie wykorzystany do gapienia się w telewizor albo granie na konsoli, można z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że dzieci pozostawione same sobie na popołudnie z poleceniem przygotowania niespodzianki dla całej rodziny będą w stanie wymyślić coś naprawdę ciekawego. Można poprosić je np. żeby stworzyły program edukacyjny dla rodziców, grę terenową w przestrzeni domowej, specjalny posiłek albo konkurs czy zawody sportowe. Takie zadania, z pozostawieniem pełnej swobody co do tematu i sposobu realizacji (ale z możliwością otrzymania wsparcia rodzica w wyznaczonych porach) mogą mieć zbawienny wpływ na motywację dzieci i na więzi wewnątrz rodziny.

Warto spróbować

Już tych kilka bardzo prostych propozycji może znacząco wpłynąć zarówno na efektywność nauki dzieci, jak i na stan psychiczny rodziców. Niektóre z nich pewnie na pierwszy rzut oka wydają się przekombinowane czy uciążliwe, ale w praktyce, jeśli rodzice w jakimś stopniu już wcześniej interesowali się edukacją swoich pociech, nie wymagają one istotnych zmian w ilości czasu poświęconego dzieciom. Mogą też wprowadzić trochę świeżości do naszego życia w czterech ścianach, więc choćby dla urozmaicenia warto je wypróbować.

Jedną z najważniejszych zasad, jeśli chcemy nie tylko przetrwać, ale i czegoś nasze dzieci nauczyć, jest zachowanie dyscypliny i higieny umysłowej wszystkich członków rodziny. Wyobraźmy więc sobie, że utknęliśmy niczym Ernest Shackleton

w 1915 roku w okolicach Antarktydy. Jest minus 30 stopni, a naszym celem jest wytrwanie przy życiu i powrót do domu, razem z całą 28-osobową załogą. Co robimy? Pilnujemy porządku dnia i utrzymujemy morale na wysokim poziomie. W naszym przypadku oznacza to na przykład, że jemy wspólnie śniadania, obiady i kolacje o wyznaczonych porach. Regularnie uprawiamy sporty, dbamy o siebie, gotujemy, zajmujemy się domem, roślinami i zwierzętami, urządzamy zabawy, koncerty, zawody, czytamy książki, komiksy, oglądamy filmy, różnicujemy sobie rozrywki, realizujemy postawione sobie zadania. I oczywiście uczymy się. Przejawy buntu i objawy demotywacji staramy się tłumić w zarodku. Inaczej nasza wyprawa transantarktyczna nie zakończy się tak szczęśliwie jak wyprawa Shackletona. Powodzenia!

Czy rząd chce walczyć z suszą?



PAWEŁ ŚREDZIŃSKI

Dziennikarz, miłośnik przyrody, rzecznik Fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze i redaktor Magazynu Poświęconego Przyrodzie natropie.tv

Decydenci wydają się nie słuchać ekspertów, którzy od lat wskazują na potrzebę zmiany podejścia do zarządzania wodą w Polsce. Za chwilę będziemy mierzyć się z jeszcze większymi problemami z niedoborem wody, a każdy błąd będzie kosztował nas kolejne jej krople

– Z powodzią walczy się tu i teraz, a susza to taki pełzający problem, do którego zdążamy się przyzwyczaić, zanim poczyni prawdziwe szkody – mówi „Nowej Konfederacji” dr hab. Mateusz Grygoruk ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, gdy pytam go o przyczynę suszy w Polsce. – Ograniczanie skutków suszy to praca u podstaw: zatrzymywanie wody w krajobrazie w różnych formach retencji, na przykład w bagnach, w meandrujących rzekach, w oczkach śródpolnych czy starorzeczach i równinach zalewowych. Praca ta jest mozolna, a jej rezultaty – niepewne i uwidaczniające się dopiero po kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu latach. Zapobieżenie powodzi w jakimś miejscu poprzez ułożenie worków z piaskiem jest bardziej dynamiczne i spektakularne. Dlatego przyzwyczailiśmy się do bohaterów walki z powodzią, a o bohaterach walki z suszą nikt nie myślał i nikt ich nie zna.

Dr hab. Andrzej Mikulski z Zakładu Hydrobiologii Uniwersytetu Warszawskiego wskazuje jako przyczynę odpro-

wadzenie wody z krajobrazu i brak retencji. To nie tylko melioracje, ale również prace utrzymaniowe, szczególnie na małych rzekach. Zamiast pozwolić im swobodnie i wolno płynąć, sprawiliśmy, że rzeki przyspieszyły spływ w wyniku odmulania i prostowania ich biegu. Do tej listy Łukasz Misiuna, przyrodnik, prezes Stowarzyszenia MOST dodaje likwidację tam i żeremi bobrowych, wycinkę lasów górskich i przekształcanie terenów zalewowych na miejsca pod zabudowę mieszkalną.

Rząd planuje walkę z suszą, zbiornik suszy nie zatrzyma

Susza, która dotknęła Polskę na początku wiosny, sprawiła, że rządzący przyspieszyli prace nad specustawą, która ma przeciwdziałać jej skutkom. Opracowali Plan Przeciwdziałania Skutkom Suszy (PPSS), który zawiera niezbędne wytyczne do realizacji stosownych działań. Sam plan wskazuje na konieczność odbudowy naturalnej retencji w dolinach rzek, na polach uprawnych, terenach wodno-błotnych i na ob-

szarze lasów, jak i retencji podziemnej. O takie zatrzymywanie wody od lat bezskutecznie zabiegali środowiska naukowe. A zatem w tym punkcie należy program pochwalić. Niestety, zaraz obok retencji naturalnej pojawia się w rządowych planach retencja zbiornikowa, i to pomimo tego, że PPSS zawiera następujące sformułowanie: „należy promować działania zakładające naturalne metody retencji, a budowanie retencji sztucznej w postaci sztucznych zbiorników traktować jako działania ostatecznego wyboru, w sytuacji, gdy przeanalizowano wszystkie możliwe warianty, bardziej korzystne ze środowiskowego punktu widzenia”. To jeden z wielu braków programu, na który uwagę zwrócili niedawno eksperci z Polskiego Towarzystwa Hydrobiologicznego (PTH) i inicjatywy „Nauka dla przyrody” (NdP).

Czy zbiorniki zatrzymają suszę? – pytam dra hab. Mateusza Grygoruka. Grygoruk pokazuje mi zdjęcie satelitarne. Jest na nim zbiornik małej retencji. – Zanim zastanowimy się, co jest nie tak – proszę spojrzeć na to, co już mamy.

– Co widać na zdjęciu satelitarnym? – kontynuuje po chwili Grygoruk. – Wpływająca do tego zbiornika rzeka jest szeroka, a wypływa z niej mały strumyk. Gdzie podziła się woda? Olbrzymia część wody z takiego zbiornika paruje. Ze względu na to, że powierzchnia zbiornika jest wielokrotnie większa od powierzchni zwierciadła rzeki płynącej niegdyś na odcinku tego zbiornika, parowanie z niego jest wielokrotnie większe. A zatem dopływająca do niego woda „rozlewa się” na relatywnie dużym obszarze, z którego latem, w okresach niskiego stanu wód, gdy najbardziej brakuje ich w rzekach, efektywnie z takiego zbiornika znika. Poniżej zbiornika jest więc w rzece mniej wody, niż do niego dopływa. Rzeka poniżej wysycha.

W opinii ekspertów takich jak Grygoruk czy Mikulski, budowa zbiorników retencyjnych nic nie da. Grygoruk podkreśla, że zbiorniki te są punktowe, położone zwykle w dole rzeki, a ich objętość jest za mała w stosunku do prognozowanych, coraz dłuższych i głębszych niżówek, oraz do szybkich i gwałtownych powodzi. I pro-



ponuje prostą kalkulację. – Załóżmy, że do zbiornika dopływa 2 m³/s, a więc 2 x 86 400 m³/dzień. Zbiornik ma powierzchnię X, a dobowe parowanie latem ze zbiornika wynosi średnio 4 litry na dobę z metra kwadratowego. Ile wody musi odpływać ze zbiornika, żeby utrzymać w nim stały poziom wody? Od razu widać, że na pewno mniej niż 2m³.

– Jak to jest, że część zbiorników małej retencji wybudowanych w latach 2000-2010 nie jest już w stanie dziś pełnić swoich funkcji? – pyta Grygoruk i wskazuje na zbiornik małej retencji „Karpowicze” na małej rzece Brzozówce, dopływie Biebrzy. – Podczas ostatnich pożarów Bagien Biebrzańskich nie dało się z tego zbiornika pozyskać wody do gaszenia bagien! Brano ją z Biebrzy – naturalnej rzeki. To jak to? Mamy zbiornik retencyjny, a nie da się go wykorzystać? Tak. Bo on nie działa. Oczywiście, ktoś może powiedzieć, że musimy budować zbiorniki, bo przecież „taki mamy klimat” i one nie działają, bo mamy susze, przez które wiosną nie dajemy rady napęlić zbiorników, a w rzekach brakuje wody. Ale właśnie – może nie trzeba ich budować właśnie dlatego? Bo nie da się ich napęlić i utrzymywać tak, by realizowały wszystkie pokładane w nich nadzieje i zakładane funkcje?

– Zbiorniki zaporowe pozwalają zadowolić elektorat, pokazać, że władza działa na dużą skalę – dodaje Mikulski. – W świadomości społecznej zbiorniki zaporowe stanowią skuteczne antidotum na susze i powodzie. Roztaczane utopijne wizje zbiorników wielozadaniowych działają na wyobraźnię społeczności lokalnych, pozwalają wierzyć w spowodowany budową zapory szybki rozwój turystyki, powstanie atrakcyjnych terenów rekreacyjnych, wskrzeszenie transportu rzeczno-energetycznego i taniaj energię. Jednak w naszych wa-

runkach retencja zbiornikowa jest absurdalnym pomysłem.

Za planami budowy zbiorników kryje się specustawa, która ma spowodować przyspieszenie takich inwestycji, odbierając głos stronie społecznej, reprezentowanej przez zewnętrznych ekspertów i organizacje pozarządowe. W ten sposób wykluczy się możliwość skutecznego protestu wobec wydawania pieniędzy na inwestycje, które okażą się nieskuteczne. Wygrywa wizja ujarzmiania rzek, a nie ich przywracania naturze.

Susza, która dotknęła Polskę na początku wiosny, sprawiła, że rządzący przyspieszyli prace nad specustawą, która ma przeciwdziałać jej skutkom

– Zamiast takich obostrzeń potrzebna jest specustawa, która pozwoli przeznaczyć środki dla tych, którzy gospodarują na obszarach nad rzekami i jeziorami, oraz dla tych, którzy mogą na swojej działce zwiększać infiltrację – uważa Grygoruk. – To jest prawdziwa inwestycja, a jej efekty będą trwałe i widoczne za kilka, maksymalnie kilkanaście lat. Natomiast budowa zbiorników to wielki koszt o wątpliwej stopie zwrotu. Nie powinno być pośpiechu przy ich planowaniu i budowie.

Kluczowa gospodarka leśna

Nie tylko zbiorniki budzą kontrowersje w rządowych pomysłach na walkę z suszą. Niepokojącą kwestią jest sprawa „wykonania prac dotyczących utrzymania urzą-

dzeń melioracji wodnych”, która znalazła się w dokumencie. W Polsce rozumie się przez te prace działania, ale nie zatrzymujące wodę, tylko odwrotnie – przyspieszające jej odprowadzanie ze zlewni, co zwiększa zagrożenie suszą.

W PPSS brakuje również kwestii związanej z odniesieniem się do problemu odwodnień kopalnianych – czytamy w opinii PTH i NdP, które przedstawiło właśnie polskiemu rządowi swoje stanowisko w tej sprawie. Jak zauważają eksperci z PTH: „Problem najostrzej widoczny jest w przypadku kopalń odkrywkowych węgla brunatnego. Generowane przez nie wielkoobszarowe odwodnienia obniżają poziom wód gruntowych, powodują zanik wód powierzchniowych, zmniejszają zdolności retencyjne krajobrazu, a w konsekwencji wywołują dotkliwą suszę rolniczą. W obliczu groźby ogromnych strat tym spowodowanych, czas najwyższy zrewidować plany budowy kolejnych kopalń i stopniowo rezygnować z energetyki opartej na węglu brunatnym”. Tego jednak w projekcie brakuje.

Nie ma w nim również ogólnopolskiego planu działania na rzecz zatrzymywania wody w dorzeczach, który nie powinien mieć formuły nieskoordynowanych działań na poziomie lokalnym. W tym przypadku kluczowy wydaje się brak odniesienia do gospodarki leśnej na obszarach górskich i podgórszych, gdzie pozyskuje się drewno, do czego w części nadleśnictw trzeba dopłacać z funduszu innych regionalnych dyrekcji Lasów Państwowych, ponieważ wycinka w trudnym terenie kosztuje więcej. Zdaniem ekspertów, lepiej zaprzestać takiej wycinki i skoncentrować się na odtworzeniu górskich torfowisk, spowolnić tempo spływu górskich potoków poprzez ich rzeczywistą renaturyzację.

Z kolei na obszarach nizinnych należałoby przystąpić do oddania rzekom części ich dolin i terenów zalewowych poprzez odsuwanie wałów i ich likwidację w miejscach, gdzie jest taka możliwość. Skuteczność polderów zalewowych, na które woda wezbraniowa w przypadku zagrożenia powodzią mogłaby się rozlać, jest znacznie większa niż w przypadku kosztownych przegrodzeń rzek, tworzących fałszywe poczucie bezpieczeństwa wśród osób zamieszkujących poniżej zbiornika.

Jednocześnie należałoby zachęcić rolników do tego, aby nie pozbywali się wody z pól i łąk, jeśli na nich długo się zatrzymuje. W zamian za to należałoby wypłacać rolnikom rekompensaty za to, że ich ziemia znajduje się pod wodą. Zamiast tego władze pracują dziś nad specustawą, która ma ograniczać suszę, ale tak naprawdę ma pomóc w realizacji planów przegradzania rzek i kosztownych inwestycji hydrotechnicznych. Ma temu służyć przepis zakładający ograniczenie możliwości odwoławczych, pozwalających niezależnym ekspertom i organizacjom pozarządowym na kontrolę inwestycji mających na celu przeciwdziałanie suszy. Wśród nich znajdują się duże zbiorniki retencyjne.

Zatrzymać wodę w rzece

Jeszcze większym absurdem w czasach suszy jest planowanie wielkich dróg wodnych. W ostatnich latach idea regulacji i ujarzmiania rzek w celu dostosowania ich do żeglugi śródlądowej przeżywa swój renesans w resorcie gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej. Wszyscy zdają się zapominać, że przy takich okresach suszy czeka nas niski stan wody, uniemożliwiający kursowanie statków. A jeśli tak będzie,

to co dalej? Kaskadyzować i spiętrzać? Budować tamy i zapory?

– Czy da się skaskadyzować Wisłę? Oczywiście. Czy da się pojechać metrem z Warszawy do Berlina? Tak. Tylko po co? Co będziemy wozić? Skąd? Jaki będzie czas przewozu? Jakie będzie ryzyko niedostarczenia towaru z powodu powodzi, niżówki czy zjawisk lodowych ograniczających żeglugę? Czy nie lepiej zainwestować te pieniądze w inne formy transportu? – wylicza Grygoruk.

To co ludziom udaje się zniszczyć, dziś mogą naprawić m.in. bobry. Te gryzonie, które w niektórych miejscach stają się wrogiem publicznym, podgryzając drzewa i zalewając łąki, okazują się stosunkowo najtańszym sposobem na zatrzymywanie wody

A zatem należałoby zrobić wszystko, żeby – zamiast przyspieszania spływu rzek – spowolnić ich bieg. To z kolei można zrobić najtaniej, pozwalając rzekom meandrować, zostawiając im tereny zalewowe i pozwolić się zamulać. Zostawiać w nich zatopione drzewa. Tymczasem od lat w Polsce są prowadzone prace utrzymaniowe na rzekach. Założmy że odmulenie kilometra małej rzeki może kosztować około 40 tysięcy złotych. Potem pomnożmy to przez kolejne odmulania.

Podobnie wygląda sytuacja z wycinką drzew wzdłuż cieków wodnych w ramach prac utrzymaniowych. Łukasz Misiuna podaje dwa przykłady niedawnej dewastacji w Ostoi Żyżnów.

– W pierwszym przypadku wycięto olchy porastające brzegi Kacanki i wywleczono z niej martwe drewno zalegające w korycie. Drugi przypadek to bezimienny ciek kilka kilometrów dalej. Unikatowe przyrodniczo miejsce. Pośród wspaniałych grądów – nadrzeczny łąg z wymierającymi gatunkami roślin i zwierząt, ekstremalnie rzadko występującymi w świętokrzyskiem. Tymczasem Nadleśnictwo Staszów dokonało tam rzezi drzew. Miejsce wygląda obecnie, jakby obrzucono je bombami. Można mnożyć przykłady. Takich małych rzek i cieków wodnych, prostowanych, ogołacanych i obkładanych kamieniami lub betonem często nie dostrzegamy.

Tego typu prace utrzymaniowe i odmulanie sprawiają, że z publicznych pieniędzy finansuje się suszę. Bo jak inaczej nazwać przyspieszanie spływu wód, nawet z obszarów leśnych? Wiele już zrobiono i wciąż się robi, żeby pozbyć się jak najszybciej wody.

To co ludziom udaje się zniszczyć, dziś mogą naprawić m.in. bobry. Te gryzonie, które w niektórych miejscach stają się wrogiem publicznym, podgryzając drzewa i zalewając łąki, okazują się stosunkowo najtańszym sposobem na zatrzymywanie wody. – Bobry to nasi wielcy sprzymierzeńcy. Jestem codziennie nad rzekami i w lasach – mówi Łukasz Misiuna. – Tylko tam, gdzie są bobry, jest jakaś woda. Gdzie indziej wszystko jest wyschnięte na wiór i nawet trzydniowe opady nie poprawiły sytuacji.

Był pomysł na to, żeby dopłacać rolnikom za to, że zgadzają się na zalanie części swoich gruntów w rezultacie dzia-

łałości bobrów. Spowolniłoby to znacznie ucieczkę wody z pola. Niestety, tak się nie stało. Pomysł nie znalazł zrozumienia wśród osób decydujących o systemie dopłat. A bóbr zamiast za sprzymierzeńca coraz częściej uchodzi za wroga.

Z suszą nie należy walczyć

– Z suszą nie da się walczyć – podsumowuje Mateusz Grygoruk. – Można próbować ograniczać jej skutki. Odpowiedzialność za ograniczanie skutków suszy spoczywa tak na rządzie, jak i na każdym mieszkańcu naszego kraju i użytkowniku wody. Polska powinna zacząć patrzeć na wodę jako na element narodowego bogactwa. Powinniśmy jak najszybciej wdrożyć mechanizm dopłat za retencję wody, ale nie dla właścicieli zbiorników, a dla rolników, miast, wsi... A przede wszystkim, jak kiedyś powiedziałem w jednym z wywiadów – powinniśmy się cieszyć, gdy pada deszcz.

Misiuna podaje przykład, jak próbował zatrzymać niszczenie jednej ze święto-

krzyskich rzek. – Zmagałem się z procederem zasypywania działek gruzem w terasie zalewowej rzek. Właściciel postanowił zasypać gruzem nadrzeczne, zalewowe łąki. Gmina na to przymknęła oko, a mi grożono. Następnie działki zostały przekształcone w budowlane. I stało się to, co się musiało stać. Zabudowane działki zaczęły być zalewane, bo na innym odcinku wykonano prace utrzymaniowe, co spowodowało gwałtowne przyspieszenie spływu wód, a że nie miały one swoich starych łąk do rozlewania się, rozlały się właśnie na podwórkach nowo wybudowanych domów. Ich właściciel wystąpił o odszkodowania i je dostał. I co dalej? A dalej uznano, że rzeka stanowi zagrożenie, i znowu ją potraktowano pracami utrzymanowymi.

Natomiast Andrzej Mikulski mówi krótko: – Zmienić logikę gospodarowania wodą.

Inaczej będzie za późno na radzenie sobie ze skutkami suszy – na własne życzenie.

Kultura strachu utrudnia radzenie sobie z pandemią

Z profesorem Frankiem Furedim
rozmawia Jarema Piekutowski



FRANK FUREDI

Brytyjski socjolog, publicysta, profesor emeritus na University of Kent. Specjalizuje się w socjologii strachu i edukacji. Autor m.in. takich książek jak „The Politics of Fear. Beyond Left and Right” (2005) czy “How Fear Works. Culture of Fear in the 21st Century”(2018)

Już przed rozpoczęciem pandemii podejście oparte na społecznym dystansowaniu było częścią kultury strachu. Przez pandemię idea, że nie powinniśmy być zbyt blisko siebie, może pozostać normą, gdy zagrożenia SARS-Cov-2 dawno już nie będzie

W poprzednim wywiadzie rozmawialiśmy o kulturze strachu. Czy świat zachodni byłby lepiej przygotowany na kryzys pandemiczny, czy lepiej by sobie z nim radził, gdyby nie kultura strachu i zasada ostrożności?

Pandemia jest oczywiście prawdziwym zagrożeniem, ale trzeba sobie z nią radzić w bardziej zniuansowany sposób. Gdybyśmy mieli bardziej pozytywne nastawienie do podejmowania ryzyka, potrafilibyśmy na przykład rozróżniać między osobami starszymi a pozostałymi grupami przy tworzeniu i wprowadzaniu restrykcji. Być może zostawilibyśmy szkoły otwarte. Polegalibyśmy bardziej na ludziach i ich zdrowym rozsądku, zamiast dążyć do ustanowienia prostej zasady czy też jednego, jedyne go sposobu reagowania na zagrożenie.

Dlaczego uważa pan, że tak byłoby lepiej? Może wtedy zmarłoby więcej osób?

Musimy pamiętać, że jest to problem zdrowia publicznego. Choroba w końcu zniknie, ale w Anglii i Ameryce słyszymy, że pandemia zmieni nasz sposób życia na zawsze. Sugeruje się, że kiedy pandemia się skończy, powinniśmy nadal nosić maski. Że nie powinniśmy już podawać sobie rąk, że musimy zmienić nasze wyobrażenie o kontakcie fizycznym. Nie chcę żyć w świecie, w którym nie mogę uścisnąć dłoni przyjaciela, nie mogę pocałować lub przytulić bliskiej osoby. Nie chcę żyć w świecie dystansu.

Mówię o tym nie z powodu mojej lekomyślności, ale dlatego, że już przed rozpoczęciem pandemii to podejście oparte na dystansowaniu było częścią kultury

strachu. Przez pandemię idea, że nie powinniśmy być zbyt blisko siebie, może stać się normą, gdy zagrożenia SARS-Cov-2 dawno już nie będzie. W Anglii w szkołach obowiązuje tzw. „no touch rule” – zasada „bez dotyku”. Pielęgniarki i inni dorośli nie mogą dotykać dzieci. W dawnych czasach, gdybym miał 9 lat i płakałbym na ulicy, od razu podeszłaby jakaś pani i przytuliła mnie. Dziś nikomu nie wolno tak zrobić. Poszliśmy już tą drogą i dlatego taka jest nasza automatyczna reakcja na pandemię. To pryzmat, przez który rozumiemy świat.

Jak ocenia pan strategię lockdownu w zachodnim świecie? Na przykład w Polsce minister zdrowia stwierdził, że będziemy musieli nosić maseczki, dopóki nie będzie dostępna szczepionka. Eksperci twierdzą, że to może trwać rok, dwa lata albo dłużej. Czy te obawy są przesadzone?

Myślę, że to nie jest rozsądne podejście. Nawet z czysto technicznego, medycznego punktu widzenia wiemy, że maseczki nie robią wielkiej różnicy. W zasadzie jedynym celem ich noszenia jest to, by samemu nie rozprzestrzeniać wirusa, jeśli akurat jesteśmy zakażeni.

Bardzo często, gdy politycy nie wiedzą, jak reagować, stosują symboliczne gesty tylko po to, by pokazać, że cokolwiek robią. Wiele rządów przyjęło strategię, które wskazują, że ich członkowie sami są trochę przestraszeni. Zamiast dobrego, przemyślanego przywództwa jest szybkie i głośne reagowanie na bieżące zmiany.

W Anglii rząd na początku miał własną strategię. Wtedy jednak media zaczęły szaleć: „Spójrzcie, we Francji, w Norwegii i we wszystkich innych krajach stosowana jest inna strategia. Dlaczego my tak nie

robimy?”. Była to bardzo silna presja na rząd. Powodem, dla którego rządzący zmienili zdanie, był strach, że jeśli choć jedna osoba umrze, media skoczą im do gardła. Wygląda to tak, że klasa polityczna nie robi tego, co konieczne, ale to, co wydaje się dobrze wygłądać na zewnątrz.

Kultura strachu rozwinęła się w Kalifornii, potem przeniosła się do wschodnich stanów, a stamtąd – do Europy. Choć w USA istnieje solidna mniejszość, która się jej sprzeciwia, to jednak Ameryka zawsze była najbardziej niechętna ryzyku ze wszystkich krajów świata

Jak pan myśli, jaki będzie wpływ obecnej pandemii na kulturę światową, zwłaszcza na kulturę strachu? Bartłomiej Radziejewski twierdzi w swoim eseju, że być może „nastąpi ponowne związanie zasług z prestiżem i sławą. (...) Będzie więcej miejsca dla bohaterów i ludzi elementarnie użytecznych, mniej – dla «znanych z tego, że są znani»„. Myśli pan, że to możliwe?

Chciałbym, żeby red. Radziejewski miał rację. Taka zmiana byłaby dobra. Ale wątpię, że do niej dojdzie. Przeprowadziłem

wiele badań nad katastrofami i reakcjami na nie i widzę, że zawsze w pierwszej kolejności istniejące wcześniej tendencje stają się silniejsze.

Jestem pewien, że wydarzą się dwie rzeczy. Po pierwsze, postawy ostrożnościowe staną się silniejsze. I to będzie miało naprawdę bardzo niedobry wpływ na nasze życie. Po drugie, naprawdę martwię się, że tyrania zdrowia publicznego stanie się jeszcze silniejsza. Pojęcie „zagrożenia dla zdrowia” może być skutecznie wykorzystywane do regulowania wszystkich obszarów życia, do ustanawiania zasad. Zdrowie staje się moralnością zastępującą. W takim ujęciu dobry człowiek to ktoś, kto nosi maseczkę, a zły jest ktoś, kto jej nie nosi.

Zmiany takie jak ta, o których mówi red. Radziejewski, również mogą nastąpić, ale pozostaną niszowe. Wiele osób będzie czerpać naukę z doświadczenia pandemii i uświadomi sobie, że aby odzyskać siły, musimy zacząć współpracować i budować wspólnotę. Wiele osób zda sobie sprawę, że rodzina jest ważniejsza, niż to sobie wcześniej wyobrażaliśmy, że potrzebujemy swoich społeczności i sąsiadów i możemy na nich polegać.

Być może w niektórych przypadkach sytuacja pandemii da ludziom większe poczucie identyfikacji z narodem. Część osób zda sobie sprawę, że nie można po prostu polegać na tanich chińskich towarach. Że dobrze jest mieć nieco większą kontrolę nad własną egzystencją społeczną i ekonomiczną.

W wywiadzie dla magazynu „Reaction” krytykuje pan Unię Europejską za niechęć do ryzyka. Twierdzi pan, że według UE „jeśli coś się rusza, to powinno zostać uregulowane”. Jednak Stany

Zjednoczone, które są powszechnie uznawane za przychylnie wobec ryzyka, wcale nie radzą sobie o wiele lepiej z pandemią...

W Stanach Zjednoczonych zawsze więcej było gadania niż działania. Kultura strachu rozwinęła się w Kalifornii, potem przeniosła się do wschodnich stanów, a stamtąd – do Europy. Chociaż w USA istnieje solidna mniejszość, która się jej sprzeciwia, to jednak Ameryka zawsze była najbardziej niechętna ryzyku ze wszystkich krajów świata.

Mówi się, że miejsca takie jak Palo Alto z Doliną Krzemową, gdzie byłem kilka razy, to królestwo eksperymentatorów, innowatorów, ludzi skłonnych do podejmowania ryzyka. Ale potem idziesz do domów tych ludzi, wchodzisz do kuchni, i widzisz, że jest jedna lodówka dla żony, jedna dla męża, jedna dla dziecka – bo każdy członek rodziny ma inne alergię! Kuchnia jest jak laboratorium medyczne. Supermarket w Palo Alto jest jak apteka. Twierdzenie, że Amerykanie to „twardzi faceci z pogranicza”, przychylni ryzyku, to mit. Indywidualnie rzecz biorąc, Polacy wydają mi się o wiele bardziej skłonni do ryzyka niż Amerykanie.

Na koniec chciałbym zapytać pana o nową książkę „Why Borders Matter”, która ukaże się w lipcu. Co może pan powiedzieć naszym czytelnikom o tej książce?

Podstawowa teza, którą rozwijam, brzmi, że nie tylko coraz gorzej umiemy dokonywać sądów moralnych i rozdzielać dobro od zła, ale też coraz słabiej trzymamy się naprawdę ważnych granic. Nie mówię tylko o granicach państwowych. W rze-

czywistości nie umiemy już dłużej utrzymać jednoznacznej granicy między dorosłymi a dziećmi. Wielu dorosłych ma problem z byciem dorosłymi; chcą być dziećmi. Mamy więc infantylnych dorosłych i „dorosłe dzieci”. Granica staje się coraz bardziej zamazana. Nie jesteśmy pewni co do granicy między mężczyznami i kobietami, a nawet między ludźmi i zwierzętami. Zanika również granica między tym, co prywatne i publiczne.

Może te granice nie są – w rzeczywistości – tak jasne, jak myśleliśmy wcześniej? Może dawniej stawialiśmy zbyt wiele granic?

Zacieranie się granic wynika z tego, że boimy się wydawać sądy o świecie, podczas gdy poprzez wydawanie sądów tak naprawdę rozwijamy naszą ludzką zdolność do rozumienia rzeczywistości. I to właśnie dzięki wydawaniu sądów możemy rzeczywiście zjednoczyć się, prowadzić dialog i tworzyć życie publiczne, które coś znaczy. Ale jeśli mówimy, że sądenie jest błędem, i uczymy nasze dzieci nie wydawać sądów, to w zasadzie tracimy zdolność do moralnego rozumowania i zaczynamy nadawać sens światu w sposób niezwykle wąski i techniczny. W tych okolicznościach stajemy się niezdolni do radzenia sobie z codziennymi problemami naszego życia.



JAREMA PIEKUTOWSKI

Członek zespołu, główny ekspert ds. społecznych

Minusy plusów, czyli druga strona polityki socjalnej PiS



STEFAN SĘKOWSKI

Zastępca Dyrektora „Nowej Konfederacji”,
kierownik sekcji Publicystyki

Kosztom alternatywnym socjalnych programów PiS jest zaniedbanie usług publicznych. W postulatcie ich wzmocnienia Łukasz Pawłowski widzi dla opozycji szansę na znalezienie spajającej emocji. Recenzja „Drugiej fali prywatyzacji”

Rządy Prawa i Sprawiedliwości przyblokowały liberalnych demokratów. Wprowadzając swoją socjalną agendę, sprawiły im niewątpliwie kłopot. Wcześniej niechętni tego typu rozwiązaniom, liberałowie miotają się między bezsilną wściekłością na „motłoch”, który dał się przekupić, a chęcią przebiccia stawki.

Ciekawie obserwuje się, jak na tą sytuację reaguje środowisko „Kultury Liberalnej”. Od kiedy rządzi PiS, skupia się ono nie tylko na krytyce poczynań obozu rządzącego, ale także na wskazywaniu opozycji, co robi źle. Zwłaszcza opozycji o rodowodzie liberalno-demokratycznym, skupionej dziś w Koalicji Obywatelskiej. Kolejne książki, tłumaczenia, artykuły recenzują liberałów i wskazują, jak bardzo wyczerpał się ich przekaz i sposób patrzenia na rzeczywistość. Rewizjoniści z KL wskazują często na brak silnej emocji, która spajałaby polityków i wyborców opozycji. Łukasz Pawłowski w swojej książce „Druga fala prywatyzacji” przedstawia taką potencjalną emocję. To soli-

darność, która w tym przypadku mogłaby się wyrażać w budowie skutecznych usług publicznych.

Liberalna solidarność

Liberał nie kojarzy się z chwaleniem tego typu rozwiązań. Pawłowski mówiąc o liberałach nie ma na myśli zastępów zwolenników państwa minimalnego, dla których każda ingerencja państwa w gospodarkę nosi znamiona zdrady idei, a doktrynę (zwłaszcza, jak rozumiem, obecną w anglosaskiej kulturze politycznej) rozwijającą się i ewoluującą od co najmniej dwóch stuleci, która już przynajmniej raz przeszła ewolucję, inkorporując elementy państwa socjalnego. To bardziej centrowa liberalna demokracja, dla której program ekonomiczny nie stanowi jedyne fundamentu, a jest jednym z członów doktryny obejmującej także demokrację i pluralizm światopoglądowy (przynajmniej w deklaracjach). Pewnym kłopotem jest to, że Pawłowski nie pisze tego wprost, a ten

sposób myślenia muszę rekonstruować na podstawie innych fragmentów jego twórczości oraz innych publikacji wydawanych przez KL – wydaje mi się jednak, że rekonstruuje go prawidłowo.

Łukasz Pawłowski w swojej książce „Druha fala prywatyzacji” przedstawia taką potencjalną emocję. To solidarność, która w tym przypadku mogłaby się wyrażać w budowie skutecznych usług publicznych

W każdym razie: dbanie o publiczną edukację, opiekę zdrowotną i emerytury mieści się w paradygmacie tak rozumianego liberalizmu (dodam od siebie, że i Adam Smith w „Bogactwie narodów” wymieniał edukację jako jeden z obowiązków państwa). A z nimi jest w Polsce coraz gorzej. Dzieci nudzą się w szkołach w przepelnionych szkołach o mało innowacyjnym podejściu do nauczania. Jak pisze Pawłowski, „połowa polskich nauczycieli ma ponad 50 lat, a średnia wieku w tym zawodzie to 42 lata”. Niskie płace w ochronie zdrowia skutkują tym, że jest tam jeszcze gorzej: przeciętna polska pielęgniarka ma ponad 50 lat. Przewidywalna stopa zastąpienia w emeryturach też jest dramatycznie niska, co z kolei skutkuje tym, że mało kto wierzy, że kiedyś otrzymamy jakieś emerytury.

Koszt alternatywny świadczeń

Nie pozostaje to bez skutków także dla portfeli Polaków. Niemalą część pieniędzy, które otrzymują w ramach świadczenia 500+, przeznaczają na zaopatrywanie się w analogiczne usługi prywatnie. Rośnie popyt na prywatne szkoły i przedszkola – przykładowo, jak pisze Pawłowski, w trakcie zmian w edukacji w latach 2016/2017 liczba prywatnych podstawówek w Polsce wzrosła o 20 proc., a uczących się w nich uczniów o 48 proc. Rozwija się rynek korepetycji. Coraz więcej osób korzysta z prywatnych ubezpieczeń zdrowotnych; w latach 2014-2018 odsetek osób ubezpieczonych prywatnie wzrósł z 19 do 28 proc. W to, że będą jakieś państwowe emerytury w przyszłości, mało kto wierzy – niektórzy odkładają samodzielnie lub inwestują pieniądze np. w nieruchomości tak, by na starość nie zostać na lodzie. Oczywiście jeśli kogoś na to stać.

Pawłowski uważa – inaczej niż wielu lewicowców – że korzystanie z usług publicznych nie musi być wcale częścią etosu. Ludzie mają prawo do swoich konsumenckich wyborów. Ma to jednak dwójakie konsekwencje. Autor pokazuje, jakie znaczenie mają usługi publiczne dla budowania solidarnego państwa, w którym sektor prywatny nie jest w stanie zaspokoić popytu z powodu niskiej podaży pracowników. Ponadto korzystając z usług publicznych prywatnie płacimy za to samo... podwójnie – bo przecież już raz państwo pobrało od nas środki na utrzymanie szkół czy szpitali w formie podatków czy składek. Dobrze jest mieć świadomość, że zaniedbanie usług publicznych, za które trzeba płacić z własnej kieszeni, to koszt alternatywny programów socjalnych PiS.

Czy to lewica?

Książka Pawłowskiego ukazuje problem z perspektywy dotychczas nieruszonej publiczystycznie (chyba że przez samego Pawłowskiego na łamach KL), wrywając się ze schematu podziału na „socjalizm” i „leseferyzm”. Czyta się ją sprawnie, jest zwięzła, a przy tym na podstawowym poziomie wyczerpuje temat. Argumentacja nie jest ogólnikowa – przeciwnie, autor prezentuje na poparcie swoich tez wiele ciekawych danych. W swojej skrótowości pomija jednak parę istotnych kwestii lub traktuje je po macoszemu. Przykładowo: skąd wziąć na to pieniądze? Propozycje są dość ogólnikowe i można jedynie domniemywać, że np. Pawłowski nie byłby niechętny np. opodatkowaniu dużych korporacji cyfrowych czy też wprowadzenia progresywnego PIT. Nie jest jednoznaczny w kwestii np. bezpośrednich świadczeń. Nowych nie chce, ale czy chce stare zlikwidować? To nie jest jasne; raczej nie. To jednak dość istotna kwestia, skoro jednak właśnie m.in. z powodu programu 500+ zabrakło środków na usługi publiczne, te braki trzeba jakoś zrekompensować. Dopiero z wywiadów, których autor udziela na temat swojej książki dowiadujemy się (ogólnikowo), że źródłem mogłoby być np. inne skalibrowanie składek czy zmniejszenie wydatków na obronność. I tu pojawia się kłopot, bowiem takie postawienie sprawy (bliskie też np. lewicy) wskazuje na chęć poświęcenia na rzecz wymienionych przez Pawłowskiego usług innego działania, podstawowego nawet dla minimalnego państwa, czyli zapewnienia bezpieczeństwa zewnętrznego. Nie miejsce tu na dogłębne omawianie tematu, jak efektywnie wydawać dostępne środki – obawiam się jednak, że Pawłowski bagatelizuje ten problem.

Jest też pytanie, co tak naprawdę liberalnego jest w pomyśle Pawłowskiego i czym odróżnia się jego liberalizm od pomysłów lewicy. Z książki to nie za bardzo wynika. Przykładowo, gdy autor opisuje „kontrexpone” Adriana Zandberga i podejście lewicy sejmowej, to przede wszystkim wyróżnia go nawoływanie, by w formułowaniu postulatów nie iść za daleko. Czy jednak liberalizm to umiarkowana lewica? Chyba nie – zwłaszcza że w wywiadzie udzielonym „Polityce”

Jest też pytanie, co tak naprawdę liberalnego jest w pomyśle Pawłowskiego i czym odróżnia się jego liberalizm od pomysłów lewicy

Pawłowski to precyzuje, wskazując, że o ile lewica zainteresowana jest równością efektów, o tyle liberałowie chcą równości na starcie. To zgrabne postawienie sprawy – tyle że w książce zupełnie nie wybrzmiewa. Oczywiście zdają sobie sprawę z tego, że obecnie możemy mieć do czynienia z „socjalną korektą” III RP, w ramach której generalnie różne pomysły na zmiany – obojętnie, czy lewicowe, liberalne czy konserwatywne – mogą iść w kierunku wzmacniania roli państwa, jednak muszą się one jakoś od siebie odróżniać. Zwłaszcza że i w ramach narracji o konieczności wzmocnienia roli państwa w polityce społecznej można zająć Pawłowskiego z indywidualistycznej strony. Zwolennicy ruchów PiS wskazują, że dawanie ludziom pieniędzy jest lepsze od

inwestowania w usługi publiczne, ponieważ ludzie sami najlepiej wiedzą, co jest dla nich dobre i mogą wydać te środki zgodnie ze swoimi potrzebami – a choćby i właśnie na usługi publiczne. Tezę o tym, że publiczna opieka zdrowotna jest lepsza niż prywatna (przynajmniej w konkretnym zakresie) trzeba jednak mocniej uzasadnić, bo być może z liberalnego punktu widzenia właśnie taka forma wręczania quasi-bonów edukacyjnych czy zdrowotnych jest sensowniejsza?

Brak postulatów

Wreszcie pojawia się pytanie, czy to kwestia finansów, czy jednak źle skalibrowanych systemów usług publicznych (albo i jednego i drugiego). Gdy krytykuje się „deformę” edukacji, a jednocześnie wskazuje na wady *status quo ante*, dobrze wskazać na jakąś alternatywę, podobnie jak w przypadku systemu emerytalnego

czy opieki zdrowotnej. Konstruktywnych postulatów, wychodzących poza postulat zwiększenia finansowania, jest jednak zdecydowanie za mało, zwłaszcza w przypadku emerytur, gdzie Pawłowski skupia się na diagnozie problemu. Jeśli opozycja, której Pawłowski otwarcie stara się doradzać, chce przejąć inicjatywę, nie może ograniczać się w myśleniu o usługach publicznych do tego, że potrzebują one więcej pieniędzy. Odchodząc od logiki ciepłej wody w kranie trzeba zaproponować też rozwiązania systemowe.

Mimo tych ewidentnych braków Pawłowski może próbować zachęcić liberalnych demokratów do znalezienia emocji, która będzie ich spajała oraz przemawiała do elektoratu – i zarazem nie będzie zwykłym, topornym antypisowskim rezydentem. Może na początek to wystarczy, bo na razie opozycja jest na etapie bronięcia się przed świadomością własnej ideowej pustki.

Gabinet filozofa jest jak gabinet lekarza

Z Piotrem Sikorą
rozmawia Jarema Piekutowski



PIOTR SIKORA

dr hab. filozofii. Jest kierownikiem Katedry Filozofii Współczesnej Instytutu Filozofii Akademii „Ignatianum” w Krakowie oraz redaktorem „Tygodnika Powszechnego”. Od 10 lat uczestniczy międzyreligijnych badaniach nad duchowością i mistyką prowadzonych przez „The Elijah Interfaith Institute”.

Epikur w jednym ze swoich listów pisze do adresata: jeśli ważne dla ciebie jest zdrowie twojej duszy, filozofuj! Niektóre współcześnie nurty w psychoterapii, na przykład terapia poznawczo-behawioralna, świadomie odwołują się do stoickich praktyk i inspiracji

JP: Co może filozof dać światu w momencie pandemii?

PS: Odbiję piłeczkę i zapytam: a czym się różni sytuacja pandemii od tego, co było przed nią?

Jest bardzo dużo różnic. Pierwsza, która przychodzi mi do głowy, to świadomość śmiertelnego zagrożenia. Żyjemy w niepewności co do tego, czy zakazimy się potencjalnie śmiertelnym wirusem, a może już się zakaziliśmy?

To faktycznie jest nietypowa sytuacja w świecie euroamerykańskim, który kiedyś nazywany był „pierwszym światem”. Ale gdzie indziej to nie jest aż tak niezwykle. Kryzys uchodzący kilka lat temu pokazał, że ogromna liczba ludzi na świecie ma tę świadomość śmiertelności wiszącej nad głową i niepewności co do swoich losów.

Zaczęliśmy w Europie doświadczać tego, czego ludzie poza Europą doświadczają praktycznie od zawsze.

Więc co może dać filozof naszemu, zachodniemu światu?

Może uświadomić nam właśnie, że przez długi czas nie chcieliśmy dopuścić do siebie świadomości, którą ludzie na świecie generalnie mają. A zdanie sobie sprawy z tego, to jest już droga do wyjścia poza egocentryczną perspektywę i patrzenie w perspektywie całości świata. Zdolność parzenia w takiej perspektywie była bardzo ważna na przykład dla stoików.

Żyliśmy w złudzeniu pewności, bezpieczeństwa, kontroli nad rzeczywistością. Zadawaliśmy sobie głównie pytania o to, czy wzrost gospodarczy wyniesie 3%, czy 3,5%, albo jaka partia dojdzie do władzy. COVID pokazał rzeczywistość taką, jaka

jest. W Ewangelii jest przypowieść o bogaczu, który nabierał tyle plonów, że nie mógł ich zmieścić w spichlerzu. Myślał o tym, że musi zbudować większy spichlerz i to zabezpieczy go do końca życia. Na to Jezus mówi: „Głupcze, jeszcze tej nocy zażądają twojej duszy”... W pewnym sensie i do końca życia będzie miał bezpieczeństwo finansowe, tylko że ten koniec będzie za parę godzin [śmiech].

Co mówi nam ta przypowieść?

Mówi o tym, że rzeczy są niepewne, nietrwałe, że tak na prawdę ich kontrolujemy mimo złudzenia kontroli. A tkwienie w tym złudzeniu, trzymanie się go, samo powoduje problemy, zwłaszcza, gdy dojdzie do głosu rzeczywistość. Niedawno widziałem taki obrazek: ludzie jechali na ferie zimowe, samochód wyładowany nartami, bagażami – i stoi na poboczu drogi, uszkodzony po solidnej kolizji. Na szczęście nikomu nic się nie stało, ale plany trzeba było zmienić: to, co wydawało się być pod kontrolą, przestało być pod kontrolą.

Jak się ma do tego filozofia?

Ta filozofia, którą staram się uprawiać, to m. in. trwająca od wieków refleksja, ćwiczenie umysłu, by rozpoznać, co jest trwałe, a co jest nietrwałe, umieć to rozróżnić. Bo inaczej powinniśmy się zachowywać wobec aspektów rzeczywistości trwałych lub zależnych od nas, a inaczej wobec tego, co nietrwałe i od nas niezależne.

Właśnie. Jeśli do filozofa przyjdzie ktoś, kto ma dziś poczucie utraty kontroli, niepewności, lęku, to prawdopodobnie zapyta nie o to, jak jest, tylko o to, jak może lepiej czy mądrzej żyć? Co można mu odpowiedzieć?

Jestem raczej sceptyczny wobec dawania jakichś gotowych odpowiedzi. Odpowiadanie na pytanie „jak żyć” jest prerogatywą tego, kto zna odpowiedzi w sposób pewny, czyli mędrca.

Cnota to jest sprawność i może mieć różne wymiary. Można więc całe życie postrzegać nie w kategorii obowiązku, a rozwoju. Zamiast pytać, co powinienem zrobić, jakie mam zobowiązania wobec kogoś, można pytać: jakie działania będą rozwijać mnie, i ludzi z którymi jestem w relacjach?

Filozof natomiast to nie jest ten, kto wie, ale ten, kto szuka wiedzy. *Philosophos*, czyli ten, który kocha mądrość, ale kocha w sensie dążenia do niej. Ma świadomość i swoich, i ogólnoludzkich ograniczeń. Dlatego nie chcę dawać odpowiedzi. Mogłbym natomiast z tym kimś wspólnie poszukać rozwiązania, zaczynając od zadania pytania: „Dlaczego przychodzisz z tym do mnie, a sam nie możesz sobie poradzić? Czemu szukasz odpowiedzi z zewnątrz?”

Odpowiedź może brzmieć: „Bo lęk jest silniejszy ode mnie, i rzeczy które próbuję z nim robić go nie uśmierzają”.

Jako filozof nie mam recepty na lęk ani gwarancji rozwiązania problemu. Możemy natomiast wspólnie rozejrzeć się po tej sytuacji. Mogę zapytać taką osobę: dlaczego się boi? Dlaczego właśnie w tej sytuacji? Czy bała się wcześniej? Odpowiedzi na te pytania otwierają nowe przestrzenie. Dzięki tym pytaniom człowiek, który do mnie przychodzi i rozmawia ze mną jako z filozofem, może sam lepiej zorientować się, co się w nim dzieje.

Fundamentalne hasło całego procesu filozoficznego, wyryte na frontonie świątyni w Delfach, brzmi: „Poznaj samego siebie”, *gnothi seauton*. W tym sensie proces filozoficzny polega na tym, że pytaniami prowokujemy człowieka, by on sam zdał sobie sprawę z siebie. Może dlatego tak często szukamy pomocy z zewnątrz, że nie mamy doświadczenia w rozoznawaniu się w samym sobie.

To dzieje się podczas psychoterapii.

U stoików i epikurejczyków pojawia się podobna myśl: że gabinet filozofa jest jak gabinet lekarza. Epikur w jednym ze swoich listów pisze do adresata: jeśli ważne dla ciebie jest zdrowie twojej duszy, filozofuj! Niektóre współcześnie nurty w psychoterapii, na przykład terapia poznawczo-behawioralna, świadomie odwołują się do stoickich praktyk i inspiracji. Albo korzystają z techniki dialogu sokratejskiego.

Istnieje jedna istotna różnica: w psychoterapii mamy do czynienia z człowiekiem, który przychodzi z jakimiś zaburzeniami. Choć te dwie rzeczy są ze sobą powiązane, to jednak istnieje różnica pomiędzy leczeniem zaburzenia, a wchodzeniem na drogę rozwoju, gdy już z zaburzeniami sobie poradzimy. Na tej drodze rozwoju może towarzyszyć człowiekowi filozof.

Od pewnego czasu zapraszasz ludzi do dialogu filozoficznego. Masz na Facebooku profil „Sztuka życia filozoficznego” i jesteś gotów prowadzić z ludźmi taki dialog online. Skąd taki pomysł?

Jestem filozofem akademickim od wielu lat, ale trochę mi ciasno w samej akademickości. Filozofowanie ma o wiele więcej wymiarów niż to, co się robi w akademii. W tym sensie filozofia od dłuższego czasu staje się dla mnie coraz bardziej drogą egzystencjalnego rozwoju. Przez proces dialogowania z filozofami – nieżyjącymi, którzy zostawili po sobie teksty, ale i żyjącymi, których znam – nauczyłem się wielu rzeczy, które mi osobiście pomagały radzić sobie w sytuacjach egzystencjalnych. Dlaczego zatrzymywać to dla siebie?

W pracy dydaktycznej i w prywatnych rozmowach zauważyłem, że wprowadzanie do rozmów wątków egzystencjalno-filozoficznych jest dla ludzi ważne. A jest to obszar zaniedbany na przykład przez szkołę. Niewiele mówi ona np. o stoikach, a oni uczą, jak myśleć o sobie i świecie, jak radzić sobie z emocjami, z niespójnościami w obrazie świata, generującymi problemy życiowe.

Niektórzy badacze mówią, że rola egzystencjalna filozofii została zepchnięta na dalszy plan z chwilą kiedy w Europie zaczęło panować chrześcijaństwo. Jej miejsce zajęła teologia i duchowość. Filozofia stała się dziedziną wyłącznie intelektualną, czego dziedzictwem jest właśnie jej akademickość. To nie jest do końca prawda, bo te dwie sfery mają na siebie wpływ. Ojcowie Kościoła, Ojcowie Pustyni, którzy są traktowani jako mistrzowie duchowi, bardzo często inspirowali się filozofami starożytnymi.

Mając więc dodatkową przestrzeń czasową i energetyczną pomyślałem, że mogę ludziom zaoferować możliwość rozmowy o takich sprawach, w tym „pandemicznym” czasie – całkowicie za darmo.

Czy zgłasza się wielu chętnych do takiego dialogu?

Miałem kilka wstępnych deklaracji, ale nikt się na razie nie zdecydował na regularne spotkania. Trudno powiedzieć, dlaczego. Większe jest zainteresowanie rozmowami na Facebooku, które dają możliwość komentowania pisemnego, z dyskusją. W przestrzeni wirtualnej mojego profilu ruch jest większy, w postaci uwag, czy komentarzy, czy dalszych pytań. Mam też świadomość, że w Polsce taki dialog filozoficzny to rzecz mało znana i pierwszym pytaniem, jakie zadają mi ludzie, jest najczęściej: „a co to?”, „na czym to miałoby polegać?”.

Skąd taki niejasny obraz?

Z braków w edukacji. Z reguły, gdy z filozofią spotykamy się w szkole czy na studiach, najczęściej polega to na tym, że trzeba wkuć na pamięć, jakieś hasła powiązane z danym filozofem: Kant – imperatyw kategoryczny, Leibniz – monady, Platon – idee, a Arystoteles – forma i materia. My, filozofowie, jesteśmy trochę sami sobie winni. Z punktu widzenia Sokratesa, filozofa wzorcowego, jest to wizja śmieszna! Filozofii, która posiada formułki mające rozwiązywać wszystko.

Kontrowersyjny jest też funkcjonujący w Polsce obraz jednej z dziedzin filozofii, jaką jest etyka. Została umiejscowiona w systemie edukacji jako alternatywa wobec religii – można powiedzieć, że jako lekcja dla antyklerykałów, czy ateistów.

Bardzo szkoda, bo etyka to ważny aspekt kształcenia.

Na czym on miałby polegać?

Na tym, by uczyć ludzi samodzielnego kształtowania swojego życia w wymiarze wartości, odpowiedzialnego podejmowania decyzji etycznych. Nie przez dostosowanie się do jakichś zewnętrznych przepisów, ani nie w sposób impulsywny, czy arbitralny, ale w oparciu o myślenie. W naszej kulturze niski jest poziom świadomości tego, że istnieje filozofia, która może pomóc w etycznych problemach.

Być może żeby żyć naprawdę po ludzku, w sposób, który nas rozwija i uszczęśliwia, musimy w swoim życiu wprowadzić jakiś sens; coś więcej niż tylko trwanie biologicznego organizmu. Okazuje się, że ten sens nie jest oderwany od konkretnych zdarzeń życiowych, tylko się jakoś z nimi wiąże i ostatecznie w nich przejawia

Więc, przykładowo, z jakimi pytaniami etycznymi ludzie przychodzą albo mogą przyjść do filozofa?

Po pierwsze, zdarzają się pytania bardzo ogólne. Po co żyję? Co ma wartość w życiu?

Jaki ma być horyzont wartości, kształtujący moje życie? Nie zawsze zauważamy, że to pytanie etyczne, bo nauczyliśmy się, że etyka to normy, nakazy i zakazy. A to pytanie o wartości i cele. Myślę, że w obecnej sytuacji niepewności i braku kontroli, ale też wyrwania z codziennej rutyny i przyzwyczajęń, takie pytania powracają. Filozof może pomóc przyjrzeć się, w jaki sposób, na jakiej bazie podejmujemy decyzje. Wtedy może okazać się, czy moje życie jest chaosem, czy zmierza ku czemuś konkretnemu. Czy moje poszczególne decyzje tworzą jakiś wspólny wzór, czy nie? Jeśli tak, to czy jestem zadowolony z tego wzoru? Czy chciałbym go zmienić?

Drugi rodzaj to pytania bardziej szczegółowe – o to, jak ten horyzont wartości przekładać na konkretne działania. Czy powinienem podejmować daną pracę, czy nie? Jeśli szef każe mi wykonać coś zdalnie, a z drugiej strony moje dziecko właśnie nie radzi sobie z lekcją, to czy dobrze będzie zostawić dziecko samemu sobie, czy zaważyć trochę pracy i pomóc dziecku? Kiedy nosić maseczkę, a kiedy nie? Takie pytania mają etyczny wymiar.

Chodzi o to, jak spełniać własne obowiązki?

Dotykamy tu ważnej kwestii: czy moralność należy budować na obowiązku? Są tacy filozofowie, którzy uważają, że można kształtować moralność w ogóle bez zobowiązań.

To nie będzie moralność relatywistyczna?

Niekoniecznie: może być to moralność cnoty. To słowo w języku polskim ma pewne negatywne konotacje, ale greckie pojęcie cnoty – *arete* – niektórzy tłumaczą

jako dzielność. Podstawową *arete* była zdolność do bycia świetnym wojownikiem. Cnota to jest sprawność i może mieć różne wymiary. Można więc całe życie postrzegać nie w kategorii obowiązku, a rozwoju. Zamiast pytać, co powinienem zrobić, jakie mam zobowiązania wobec kogoś, można pytać: jakie działania będą rozwijać mnie, i ludzi z którymi jestem w relacjach? To jest zdolność do kształtowania swojego życia, w pewnym sensie na wzór dzieła sztuki, jako coś pięknego.

Pisaliśmy w NK o cnotach. Jednak postawiłbym taką hipotezę, że w Polsce nasze myślenie etyczne jest kształtowane w kategorii obowiązków raczej niż rozwoju cnót czy potencjału.

Zgadzam się. W pewnej mierze wynika to z kształtu polskiego katolicyzmu (choć wbrew pozorom katolicyzm u swoich źródeł wcale nie jest religią kodeksu obowiązków), ale to też występuje wśród ludzi, którzy nie są z katolicyzmem związani. Najczęściej pod postacią: „co wypada w społeczeństwie”.

Przeformułowanie patrzenia na swoje życie z perspektywy obowiązku na perspektywę rozwoju to jedna z potencjalnych dróg dialogu filozoficznego. Oczywiście każdy musi sam zdecydować, jaki rodzaj etyki wybrać, ale warto namówić kogoś na spojrzenie z innej perspektywy na ten sam problem. Patrzenie z różnych perspektyw pomaga w osiągnięciu samodzielności.

Wróćmy na chwilę do pandemii. Z jednej strony wielu z nas dopatruje się w jej przyjsciu jakiegoś większego sensu, albo wręcz celu („czego pandemia ma nas nauczyć”). Z drugiej strony filozof Tomasz Stawiszyński

mówi na przykład: „Pewna znana psycholożka oznajmia, że koronawirus jest jej «wielkim sprzymierzeńcem», bo może się wiele od niego nauczyć. (...) wypowiedzanie takich słów, kiedy dookoła za sprawą tego «sprzymierzeńca» umierają ludzie, a ich rodziny przechodzą gehennę, jest zwyczajnie nie na miejscu”. Powinniśmy doszukiwać się w pandemii sensu, czy nie?

To bardzo ważne pytanie! Ale znów: ja nie wiem, co powinniśmy, a co nie. Wolę rozważyć, co nas skłania do szukania takiego sensu. Być może żeby żyć naprawdę po ludzku, w sposób, który nas rozwija i uszczęśliwia, musimy w swoim życiu wprowadzić jakiś sens; coś więcej niż tylko trwanie biologicznego organizmu. Okazuje się, że ten sens nie jest oderwany od konkretnych zdarzeń życiowych, tylko się jakoś z nimi wiąże i ostatecznie w nich przejawia. W związku tym łączymy pojedyncze wydarzenia, w tym pandemię, z innymi.

Jeśli przywoływana przez Tomasza Stawiszyńskiego psycholożka chce się czegoś nauczyć z pandemii, z wydarzenia biologicznego, które stwarza w jej konkretnym przypadku jakąś ważną sytuację egzystencjalną; jeżeli dzięki temu wydarzeniu rozwinęła się i może lepiej pomagać innym ludziom, to czy faktycznie jej słowa są nie na miejscu? Co innego, gdyby całe wydarzenie uznała za dobre i stwierdziła, że powinniśmy wszyscy za nie dziękować. To by sugerowało, że stawia swoją ego-

centryczną perspektywę wyżej niż wszystkie inne. Ale, jak sądzę, takiej tezy ona nie stawia. Wydarzenia biologiczne same w sobie nie mają wartości, ale mogą nabrać różnej wartości w zależności od osoby, której dotyczą.

Na koniec zapytam, czy są jacyś mistrzowie filozofii, których szczególnie byś polecał do lektury w tym okresie?

Po pierwsze stoików – Epikteta i Marka Aureliusza, najlepiej razem. Co ciekawe, Epiktet dużą część życia spędził jako niewolnik, a Marek Aureliusz był cesarzem. A mieli bardzo podobną, stoicką wizję, rozważania prowadząc z zupełnie innych punktów widzenia, które się uzupełniają.

Do nich dodałbym Epikura, który bywa traktowany jako przeciwstawny stoikom, ale, moim zdaniem, może ich uzupełniać. W jego pismach też jest dużo kwestii codziennie-etycznych. Na początek właśnie ich bym polecił.

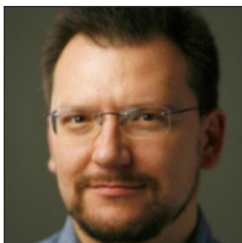
Z drugiej strony poleciłbym też Hezychiusza z Synaju. Z jednej strony to nie filozof, a Ojciec Pustyni. Przedstawia jednak niezwykle praktyczne ćwiczenia świadomościowo-uważnościowe, pokazujące związek między tym, co myślimy a tym co dzieje się w sferze okołomyślowej: emocjach, impulsach biologicznych. Z punktu widzenia filozofów takich jak stoicy czy epikurejczycy, to ćwiczenia bardzo ważne, niezbędne do rozumnego kształtowania swego życia.



JAREMA PIEKUTOWSKI

Członek zespołu, główny ekspert ds. społecznych

Puste Mazury



WOJCIECH STANISŁAWSKI

Doktor historii, publicysta

O ileż lepsze byłyby te reportaże, gdyby nie były tak naznaczone głęboką niechęcią – nie, nie do PRL z jej dyktatem i brutalnością, lecz do samej „cywilizacji polskiej”, z jej niechlujnością, bylejakością, katolickim triumfalizmem

Dramat ludności Warmii i Mazur – dramat, któremu początek dały decyzje z Jałty i Poczdamu – miał kilka odsłon. Najbrutalniejsze było otwarcie, ucieczka blisko miliona ludności cywilnej Prus Wschodnich przed nadciągającą Armią Czerwoną: w najlepszym razie oznaczało to tułaczkę w upadającej III Rzeszy, w gorszym – śmierć, w najgorszym – przemoc i gwałty ze strony żołdaków, których Ilja Erenburg i inny namawiali do „zemsty na Germańcach”.

Po rozciągnięciu iluzorycznej z początku administracji warszawskiej na terenach dawnych Prus Wschodnich, które znalazły się w nowych granicach, wcale nie było lepiej – tylko bardziej dwuznacznie. Z około 200 tysięcy mieszkańców, którzy pozostali po przejściu frontu, połowę uznano za Niemców, którzy w ciągu kolejnych kilkunastu miesięcy doświadczyli brutalnej wywózki. Pozostałych sto tysięcy uznano za „ludność rodzimą, pochodzenia słowiańskiego, lecz uległą germanizacji” i rozpoczęto wobec niej obli-gatoryjną akcję polonizacyjną.

Wielkie Wyrównanie

Ta polonizacja też miała, oczywiście, różne oblicza – i właściwie żadne z nich sympatyczne. Najbardziej cywilizowaną jej formułą (choć też nie pozostawiającą miejsca na żaden wybór) była polonizacja przez edukację. Na terenach Warmii i Mazur rozbudowano struktury polskiej oświaty – bez żadnej możliwości wyboru języka, programów uwzględniających specyfikę językową i regionalną czy bodaj przeszkolenia nauczycieli. Rezultatem była polonizacja, którą dałoby się, trochę przewrotnie, określić z niemiecka jako *Gleichschaltung*, czyli „Wielkie Wyrównanie”. Zwykle była skuteczna: mazurska ludność nie posiadała ani własnych elit, które mogłyby stworzyć struktury oświaty niezależnej, ani, w rozpoczynającym się właśnie stalinizmie, żadnej przestrzeni społecznej, w której mogłaby kultywować swoją odrębność. Z reguły polonizacja była bolesna, postrzegana, już w dorosłym życiu, jako opresyjne narzucenie tożsamości.

Ta formuła była jednak i tak mniej brutalna niż masowo doświadczane najeżdzy szabrowników, dokonujących zaboru lub niszczenia majątku, zwykle na oczach jego właścicieli; niż przemoc, na którą „ludność miejscowa” stale była narażona. A co z wyższością o zabarwieniu nieledwie kolonialnym, demonstrowaną przez przedstawicieli administracji lokalnej, urzędników i milicjantów, ale i przez personel państwowych sklepów czy sąsiadów zza miedzy? W pierwszej powojennej dekadzie równowaga między obywatelem a państwem była wyjątkowo przesunięta na niekorzyść tego pierwszego – ale na Mazurach wyglądało to najgorzej.

Ból nieopisany

Problem „ludności rodzimej pochodzenia słowiańskiego” brał swój początek w odległej przeszłości, jeśli nie średniowiecznych zmaganiach, to osadzania przybyszów z Mazur w Prusach Książęcych – ale po 1945 dał o sobie znać z całą mocą. Blisko wiek zmagani ofiarnych polonizatorów – nauczycieli ludowych, księży, wydawców „Gazety Olsztyńskiej” nie przyniósł przelomu. Nadal nie było pomysłu na skuteczne i dobrowolne zarazem przekonanie ludności rodzimej do polskości – tym bardziej, że w odbudowującej się Polsce żyło się biedniej i szarzej niż w Niemczech – zarówno przed-, jak powojennych.

Stąd kolejne fale wyjazdów do Niemiec – w ramach tuż powojennej tzw. repatriacji, po odwilży w połowie lat 50. i po kolejnych liberalizacjach systemu. „Polska ma Warmię i Mazury, a Niemcy – Warmiaków i Mazurów” – żartowano. Sam jednak motyw upokorzeń, jakie spotykały ludność miejscową, był nieobecny w kulturze nie tylko ze względu na zapisy cenzury: również z racji nieobecności tego

tematu w świadomości społecznej. Jakies aluzje u autorów powieści dla młodzieży czy popularnych czytadeł, eksplorujących wątki przygodowe czy romantyczne oraz uroki Ziem Odzyskanych – u Bolesława Mrówczyńskiego, Eugeniusza Paukszty

Różne są formuły tych reportaży. Czasem pisane są one w trybie „zapisu monologu”, niejako z pozycji przyszywanej wnuczki, wysłuchującej bez krytycznego dystansu długiej opowieści starca – Eugeniusza Kowalskiego czy wspomnianego już Herberta Sobottki

czy Zbigniewa Nienackiego – to cała pamięć, na jaką mogli liczyć. Tabu zostało uchylone (na dwa palce) dopiero po opublikowaniu w roku 1975 przekładu powieści niemieckiego autora Ernsta Wiecherta „Dzieci Jerominów”; nieco przyciężkiej sagi o melancholijnych mieszkańcach jednej wioski, która w roku 1945 przestała istnieć.

Zapis monologu i klasyczny reportaż

Po roku 1989 ludnością Mazur i Warmii, z której „tutejszością” PRL nie umiał się pogodzić, zajęli się naukowcy, poeci i eseiści. Brakowało jednak trochę reportażu biograficznych, ukazujących losy poszcze-

gólnych osób, ich prób i doświadczeń, często, jak bywa u „tutejszych”, bolesnych poszukiwań swojej tożsamości. Tę lukę usiłuje zappełnić Beata Szady w zbiorze reportaży, z których część publikowana była dotąd na łamach „Tygodnika Powszechnego” czy „Polityki”. W „Wiecznym początku” poznajemy losy ludzi, którzy przetrwali na miejscu, kultywując swoją osobność, uparci jak polne kamienie (jak Herbert Sobottka), którzy przez całe życie rozważali swoją dwoistość (troistość?) mazursko-polsko-niemiecką (jak prof. Hubert Orłowski, jeden z najwybitniejszych polskich germanistów) bądź, nieoczekiwanie dla siebie, wyjeżdżali, by wrócić, bo *genius loci* okazał się, jak tyle razy, silniejszy niż wszystkie uroki dobrze zaopatrzonych niemieckich supermarketów: tak stało się z małżeństwem Adi i Alberta Burdinskih.

Różne są formuły tych reportaży. Czasem pisane są one w trybie „zapisu monologu”, niejako z pozycji przyszywanej wnuczki, wysłuchującej bez krytycznego dystansu długiej opowieści starca – Eugeniusza Kowalskiego czy wspomnianego już Herberta Sobottki. Czasem, jak w przypadku opowieści o Filemonie i Baucis z Jeleniowa (przedwojennego Jellinowen), czyli państwa Burdinskih, jest to klasyczny reportaż – opowieść życia: obrazki z terażniejszości (podupadająca wieś, pijackowie pod sklepem, na ich tle – schludny dom „podwójnych repatriantów”) przeplatane z kęsami wspomnień. Zdarza się w tych tekstach tłumaczenie oczywistości, zdarza się jednak również duża uroda językowa: „wysiepany asfalt”, powracający w dwóch tekstach, brzmi wiarygodniej niż wiele trącących myszką regionalizmów. Podobnie świetna fraza „w PRL pełło się wszelkie oznaki niemieckości”, która dowodzi nie tylko sprawności w odmianie

niełatwego czasownika, ale i wrażliwości na różne półtony propagandy komunistycznej, której udawało się łączyć futurystyczny dynamizm z nuta sielskości.

**Warmia i Mazury
doświadczyły w PRL
degradacji (niewiele
bardziej niszczącej, niż
reszta kraju, ale wyraźniej
widocznej w kontraście
z przedwojenną kulturą
materialną) i w III RP
niekoniecznie ją odrobiły**

O ileż lepsze byłyby te reportaże, gdyby nie były tak naznaczone głęboką niechęcią – nie, nie do PRL z jej dyktatem i brutalnością, lecz do samej „cywilizacji polskiej”, z jej niechlujnością, bylejąkością, katolickim triumfalizmem. Mniejsza już o czysto polityczne wtręty: każdy ma prawo do swojego zestawu szpileczek, również współpracowniczka „Dużego Formatu” i „Polityki”. Inna rzecz, że zatytułowanie jednego z podrozdziałów „Hitler i Kaczyński”, następnie zaś pozostawienie bez komentarza dłuższej opinii pana Sobottki („[Mazurzy] najlepiej mieli za Hitlera. Co prawda przez krótki czas. (...) To samo można teraz powiedzieć o Kaczyńskim. Dlaczego ludzie na niego głosują? Bo daje im pięćset złotych na dziecko. I Hitler też dawał kindergeldy. I mieszkania budował. To dlaczego ludzie mieliby nie głosować?”) pokazuje, że żar zaangażowania bywa dla Beaty Szady ważniejszy

niż styl: *reductio ad Hitlerum* uważane jest zazwyczaj za dość pośledni argument.

Antypolskie klisze

Większym wyzwaniem dla czytelnika może się jednak okazać fakt, że dla autorki niemiłe są dziesiątki praktyk już nie władz PRL, lecz „strony polskiej” jako takiej. Czy wynika to z faktu, że bezkrytycznie zinternalizowała opinie swoich rozmówców? Czy cierpkie przekonanie o pośledności współczesnych nam Polaków było w niej obecne już wcześniej? Pewne jest, że czytając „Wieczny początek” doświadczyć można niecodziennego efektu: w książce, która stawia sobie za jeden z celów demaskowanie zabiegów propagandowych, w tym antyniemieckich klisz i stereotypów, znaleźć można niemało klisz, kojarzonych z niezyczliwą Polsce propagandą niemiecką! *Polnische Wirtschaft?* Polacy – prymitywni i skąpi, dewastujący dziedzictwo, do którego niedorośli? Niemało tego. Szczegółowo relacjonowane doświadczenia państwa Burdinskih są jednoznaczne zarówno na poziomie urbanistycznym (Jeleniowo zapyziałe, zapadłe w siebie, gdzie była restauracja, jest fastfood; gdzie były trzy sklepy, jest jeden, a śródmiejski zbiornik wodny zmienił się w bagno), jak i jednostkowym: chciwy na fanty wuj zabierający siostrzenicy komunijny rowerek, ludzie, którym przypadł dom po Burdinskih, szczujący dawnych właścicieli policją i psami; księżowska „banda czworga”, jak sami się nazywali, siłą i podstępem przejmowała ewangelickie kościoły.

Jak zwierzęta żyją ci Polacy, jak zwierzęta. Trupami grządką nawożą i za nic to mają. „Do tej pory rodziny Kołodziejów nie ekshumowano. W miejscu rowu (pre-

ciwpancernego, w którym pochowano zwłoki w roku 1945 – przyp. WS) są dziś ogródki działkowe. Rosną na nich marchewki”. I niszczyć tylko potrafią – to znaczy nie „oni”, lecz my, bo w jednym z reportaży pojawia się znajoma, oskarżycielska fraza ujęta w pierwszej osobie liczby mnogiej: „Warmia została przyłączona do Polski dopiero po drugiej wojnie światowej. Nie mieliśmy więc dużo czasu, żeby krajobraz popsuć. I długo nie psuiliśmy. Właściwie z braku pieniędzy nie robiliśmy nic. (...) brak jakichkolwiek remontów spowodował, że krajobraz kulturowy dosłownie się wali”.

Nie w tym rzecz, że którakolwiek z tych sytuacji jest zmyślona. Nie, są prawdziwe. Warmia i Mazury doświadczyły w PRL degradacji (niewiele bardziej niszczącej, niż reszta kraju, ale wyraźniej widocznej w kontraście z przedwojenną kulturą materialną) i w III RP niekoniecznie ją odrobiły. Chciwych wujków bywa niemało, lęk przed „Niemcem, co wróci i zabierze” przybiera czasem groteskowe formy, warmińskich szachulców i szop z czerwonej cegły strasznie żal. Idzie raczej o to, że cały zbiorek utrzymany jest w tym cierpkim, na poły demaskatorskim tonie. Czasem wydaje się, że równie dobrze mógłby ukazać się nakładem któregoś z tych strasznych, zdemonizowanych (tu już kłania się propaganda PRL) ziomkostw – a już na pewno może liczyć w tych kręgach na życzliwe recenzje. Gdyby autorka zdobyła się wobec napływowych Polaków – też nieźle przeczolganym przez historię – na bodaj część tej empatii, którą oferuje swoim bohaterom, wyszłoby to książce zdecydowanie na dobre.

Beata Szady, „Wieczny początek. Warmia i Mazury”, Wydawnictwo Czarne, 2020

Reklama

Pod uwagę działaczom religijnym, politycznym i społecznym:

Chrześcijańska myśl ekonomiczna

Chrześcijańska myśl ekonomiczna stanowi kierunek badania znaczenia Przykazań Dekalogu: „Nie kradnij!” i „Nie pożądaj własności bliźniego!” dla ekonomii i gospodarki, oraz na wyciąganiu wniosków z wyników tych badań w celu ich wykorzystania w nauce ekonomii i polityce gospodarczej. Inspiracją tej myśli jest stwierdzenie, że ponieważ aż dwa te Przykazania mają za cel ochronę własności człowieka, czyli ochronę własności prywatnej, to znaczy, że Stwórca nadał nienaruszalności instytucji własności prywatnej wysoką rangę. Stanowi ona dobro nierozzerwalne z człowieczeństwem. Pod pojęciem „własność prywatna” rozumie się, oczywiście, dobro uczciwie nabyte przez człowieka, a nie dobro przez niego posiadane, lecz nabyte drogą jakiegokolwiek rodzaju kradzieży.

Wyniki badań powyższego wpływu okazują się rewelacyjne. Okazuje się, że łamanie przez ludzi i ich rządy Przykazania „Nie kradnij!”, poprzedzane na ogół łamaniem Przykazania „Nie pożądaj własności bliźniego!”, czyli, inaczej mówiąc – kradzież jest główną przyczyną, lub samą istotą, prawie wszystkich poważnych krajowych i międzynarodowych problemów i kryzysów gospodarczych wiodących do biedy i różnych niepożądanych efektów społecznych. Im powszechniejsze zjawisko kradzieży we wszelkich jej formach, a szczególnie w formach grabieży zalegalizowanej przez państwo i popełnianej na różne sposoby, często „w majestacie prawa”, na obywatelach, tym poważniejsze hamowanie rozwoju gospodarczego i dobrobytu. Do tych sposobów zaliczyć należy, między innymi:

- 1) zaciąganie pożyczek państwowych bez wiedzy i zgody obywateli, którzy wraz ze swym potomstwem pożyczki te będą musieli spłacać;
- 2) drukowanie papierowych pieniędzy bez ich pokrycia w przyroście bogactwa narodowego, co powoduje inflację i obniżanie wartości pieniędzy już posiadanych przez obywateli;
- 3) przyznawanie przez władze różnych licencji, monopoli i innych przywilejów wybranym ludziom lub grupom ludzi, kosztem wszystkich pozostałych;
- 4) tworzenie w instytucjach państwowych tak zwanych stanowisk pracy, pracy bezproduktywnej i pasożytniczej, będącej przykrywką do dzielenia się pieniędzmi z kieszeni podatnika;
- 5) sprzecznie z zasadą równości wszystkich obywateli wobec prawa, zalecane przez Marksa opodatkowanie wybiórcze (progresywne) ludzi zamożniejszych, a tym samym karanie ich za to, że w gospodarce rynkowej stali się nimi dzięki swej pra-

Reklama

- cowitości, zaradności, uczciwości, wyrzeczeniom, oszczędzaniu i zaspokajaniu potrzeb innych ludzi owocami swej działalności;
- 6) opodatkowanie na cele nie służące dobru całego społeczeństwa, lecz tylko niektórych jego grup;
 - 7) łamanie prawa podaży i popytu, przez narzucanie cen minimalnych lub maksymalnych za jakieś dobra – a więc okradając właściciela danego dobra z prawa do swobodnego dysponowania swą własnością;
 - 8) szerzenie i praktykowanie korupcji poprzez tworzenie korupcjogennych urzędów dla „swych” ludzi i ochrona ich działań drogą kosztujących całe społeczeństwo;
 - 9) praktykowanie socjalizmu poprzez bezpośrednią konfiskatę własności prywatnej na rzecz państwa i jego różnych instytucji;
- itd., itd.

W świetle powyższego jasne jest, dlaczego państwa socjalistyczne i „opiekuńcze” oparte na „uszczipianiu” i konfiskacie własności prywatnej prowadzą kraje do bankructwa, a rodziny i społeczeństwa do rozkładu.

Przyjęcie powyższego do wiadomości powinno być szczególnie łatwo akceptowane przez nas, chrześcijan, dla których Dekalog, będący zbiorem nakazów i zakazów pochodzących od Stwórcy, jest jednym z filarów wiary. Szczególnie czujni winniśmy być na znaczenie nieraz spotykanych haseł o potrzebie realizacji zasad sprawiedliwości społecznej (co, między innymi, jest wyrażone w Artykule 2 obecnie obowiązującej Konstytucji RP), bo często bywają one pośrednim wzywaniem do łamania Przykazania 10 („Nie pożądaj żadnej rzeczy należącej do bliźniego”) i do przymusowego wyrównywania międzyludzkich nierówności majątkowych i społecznych, drogą zalegalizowanej grabieży i kradzieży gwałcącej Przykazanie „Nie kradnij!” i chrześcijański nakaz miłości bliźniego, a są inspirowane przez różnych popleczników marksizmu, którego, jak wiadomo, jednym z podstawowych dogmatów jest konieczność likwidacji własności prywatnej. Nieopatrzna akceptacja takich haseł przez katolików, mimo, że nigdzie w Piśmie Świętym nie ma potępienia, a nawet tylko dezaprobaty nierówności międzyludzkich, stanowi sukces infiltracji wrogiej chrześcijaństwu ideologii marksistowskiej do Kościoła. Chrześcijańska myśl ekonomiczna służyć może za narzędzie intelektualne w zwalczaniu tej infiltracji. Niezależnie od tego zachęca ona patriotów pragnących jak najlepiej dla swego kraju, aby nie pozwalali rządzącym na ustanawianie i egzekwowanie praw okradania obywateli przez państwo, a doprowadzali do likwidacji takich praw już istniejących.

JAN MICHAŁ MAŁEK
Założyciel Fundacji PAFERE

Misja

Świat intelektualny – od uniwersytetów po media – nie nadąża dziś za gwałtownymi przemianami rzeczywistości politycznej, gospodarczej i społecznej, opisując je za pomocą kategorii z poprzednich epok. To zasadniczo obniża jakość rządzenia, które wymaga rozstrzygnięcia dylematów przy użyciu wiedzy dostępnej w danej chwili. Deficyt tej ostatniej zwiększa ryzyko decyzji błędnych lub wręcz katastrofalnych, jak również – dominacji fałszywych ideologii. Polski dotyczy to w stopniu szczególnym, ze względu na trudne położenie geopolityczne i słabość intelektualną (uniwersytetów, mediów, think tanków).

„Nowa Konfederacja” stara się temu kryzysowi myśli przeciwdziałać na cztery zasadnicze sposoby:

- 1) Poprzez formułę thinkzine'u: pierwszego w Polsce i prawdopodobnie na świecie think tanku i magazynu publicystycznego w jednym, umożliwiającą lepszą komunikację i synergię między ekspertami z różnych dziedzin oraz między specjalistami a publicystami i intelektualistami; wszystko po to, aby po pierwsze zwiększać poziom wiedzy specjalistycznej, a po drugie (i ważniejsze) budować całościowy obraz rzeczywistości;
- 2) Poprzez kształtowanie opinii elit;
- 3) Poprzez oddziaływanie na główny nurt debaty za pomocą komentatorstwa politycznego;
- 4) Pełniąc rolę pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Działamy w duchu polskiej tradycji republikańskiej, uważając ją z jednej strony za najbardziej chwalebny dorobek rodzimej polityki, z drugiej za inspirację do rozwiązywania współczesnych problemów, na czele z fałszywymi dylematami: państwo czy wolność, wolność czy wspólnota. Dziś potrzebujemy jednocześnie więcej państwa, więcej wolności i więcej wspólnoty. Wyzwania tak dla politycznej podmiotowości, jak i wolności są bowiem bezprecedensowe – taka musi też być odpowiedź.

Jesteśmy konfederacją – związkiem obywateli dążących razem do dobra wspólnego, w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą.

Jesteśmy niezależni tak od partii politycznych, jak i od rywalizacji na klikalność. Jest to możliwe przede wszystkim dzięki hojności naszych Darczyńców. Utrzymanie niezależności i poziomu merytorycznego oraz dalszy rozwój, przybliżający realizację powyższych celów, zależą od utrzymania i rozwoju finansowania poprzez bezwarunkowe darowizny na cele statutowe.

Jeśli cenisz „Nową Konfederację” – wesprzyj ją.

Działalność

Do listopada 2017 r. „Nowa Konfederacja” była pierwszym w Polsce internetowym miesięcznikiem idei (pierwszych 51 numerów ukazało się w formule e-tygodnika, między październikiem 2013 a wrześniem 2014). Dziś „Nowa Konfederacja” to prawdopodobnie pierwszy na świecie thinkzine. To nowa forma instytucji eksperckiej i publicystycznej jednocześnie. Umożliwia to z jednej strony lepsze niż dotąd gromadzenie i tworzenie wiedzy specjalistycznej, z drugiej: efektywniejszą pracę nad całościowym opisem rzeczywistości publicznej.

Do tej pory podstawowym sposobem prezentacji takich owoców była publicystyka, która cały czas odgrywa ważną rolę w naszej działalności. Obecnie każde kolejne wydanie e-miesięcznika zawiera 10 materiałów – artykułów analitycznych, esejów, wywiadów. Dwa razy w tygodniu publikujemy komentarze reagujące na bieżące wydarzenia. Swoje miejsce ma u nas także felieton – wymierający gatunek na pograniczu dziennikarstwa i literatury pięknej, ukazujący się co najmniej raz w miesiącu.

Od listopada 2017 roku stawiamy także na działalność ekspercką. Specjaliści od spraw ustrojowych, międzynarodowych, prawa, obronności, gospodarki, samorządu i nie tylko publikują w „Nowej Konfederacji” raporty, analizy, komentarze eksperckie.

Zarówno publicyści, jak i eksperci związani z „Nową Konfederacją” występują w mediach, zarówno pracując w różnych tytułach, jak i występując w nich gościnnie czy komentując dla nich bieżące wydarzenia. Jesteśmy obecni na łamach największych polskich dzienników i tygodników, w internecie, na falach stacji radiowych, regularnie występujemy także w programach telewizyjnych stacji publicznych i prywatnych.

Ważnym elementem naszej działalności są także otwarte debaty, które organizujemy co najmniej raz w miesiącu. Zaproszeni przez nas goście – naukowcy, politycy i dziennikarze – dyskutują wokół kolejnych naszych publikacji, a także na bieżące tematy społeczno-polityczne. Jesteśmy obecni także w mediach społecznościowych – na Facebooku, Twitterze czy YouTube.

„Nową Konfederację” tworzą

Stali Darczyńcy: Bartłomiej Kachniarz, Piotr Kubiak, Michał Macierzyński, Jerzy Martini, „mieszkaniec Bytomia”, Jakub Stychno, Marcin Sławeta, Michał Kocur, Remigiusz Iwuć, Piotr Ogiński, Damian Szczerbaty, Szymon Radziszewicz, Krzysztof Szatan oraz Anonimowi Darczyńcy

Pozostali Darczyńcy: Jacek Bartosiak, Piotr Remiszewski, Piotr Woźny, Andrzej Dobrowolski, Krzysztof Poradzisz, Marek Nowakowski, Karol Tataro oraz Anonimowi Darczyńcy (Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

Zespół: Kołodyńska-Magdziarz (Sekretarz zespołu), Jarema Piekutowski, Bartłomiej Radziejewski (Dyrektor), Stefan Sękowski (Zastępca dyrektora, kierownik sekcji Publicystyki), Anna Szczerbata, Paulina Raczyńska, Marcin Chruściel

Stali współpracownicy: Paweł Behrendt, Łukasz Kobeszko, Michał Lubina, Stanisław Maksymowicz, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Andrzej Mikosz, Adam Radzimski, Marek Wojnar, Karol Zdybel, Adam Michalak, Witold Sokała, Piotr Celiński, Patryk Gorgol, Krzysztof Sękowski

Współpracownicy: Michał Beim, Ludwik Dorn, Błażej Duber, Stanisław Gasik, Tomasz Geodecki, Tomasz Grzegorz Grosse, Elżbieta Hibner, Maria Libura, Damian Maziarz, Filip Memches, Tomasz Pichór, Radosław Piekarz, Tomasz Pućrół, Witold Repetowicz, Jan Rokita, Błażej Sajduk, Wojciech Stanisławski, Zbigniew Stawrowski, Barbara Szewczyk, Artur Wołek, Krzysztof Wołodźko, Roman Graczyk, Paweł Średziński, Andrzej Horubała

Grafika (okładki): Piotr Promiński

Korekta i redakcja stylistyczna: Jarema Piekutowski, Stefan Sękowski

Skład: Rafał Siwik

Wydawca: Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt: redakcja@nowakonfederacja.pl